



# MBRION

CZASOPISMO LITERACKO-KULTURALNE STUDENTÓW UWM

3/2016

Grzyby atomowe obrodziły!

Wpadnij zobaczyć  
ile mamy rączek  
ile ciasteczek  
i dlaczego  
nie będzie już więcej promocji  
na bulki Witkiewiczówki?!

*Gdzie?  
Muślin  
Nie mogę patrzeć  
Stalin*







| <b>SPIS TREŚCI:</b>                        |    |
|--------------------------------------------|----|
| <b>Alexander Nowakowski</b>                |    |
| <i>(Iść na rozprawę z mandragorami...)</i> | 2  |
| <i>Dynamizm powietrzny</i>                 | 3  |
| <i>(Isztar Inanna Asztarte...)</i>         | 4  |
| <b>Bartosz Ławrynkowicz</b>                |    |
| <i>Szczęśliwe życie pana Wiesława</i>      | 5  |
| <b>Dawid Kraszewski</b>                    |    |
| <i>Muślin</i>                              | 7  |
| <i>Take a five</i>                         | 8  |
| <i>Zausznik</i>                            | 9  |
| <b>Karolina Błażejczyk</b>                 |    |
| <i>Podróż ponad celem</i>                  | 10 |
| <i>Domki z kart</i>                        | 11 |
| <b>Krzysztof Bałajewicz</b>                |    |
| <i>Słowa, słowa, słowa</i>                 | 13 |
| <b>Michał Małyś</b>                        |    |
| <i>Grube czarne dziwki</i>                 | 35 |
| <i>Mędrzec</i>                             | 37 |
| <b>Sabina Kowalczyk</b>                    |    |
| <i>Gdzie?</i>                              | 41 |
| <i>Nie mogę patrzeć</i>                    | 42 |
| <i>Mój ból-mój gniew-moja modlitwa</i>     | 44 |
| <i>Poczekajmy do zmroku...</i>             | 46 |
| <i>Wołanie do Doliny</i>                   | 47 |
| <i>(żyję przedświtem...)</i>               | 48 |
| <i>(Spośród skrzywień....)</i>             | 49 |
| <b>Teodor Drzewostan</b>                   |    |
| <i>Niczego nie oddałem</i>                 | 50 |
| <b>Wojciech Kobus</b>                      |    |
| <i>(Daj babie lato...)</i>                 | 53 |
| <i>Komoda</i>                              | 55 |
| <i>Stalin</i>                              | 57 |
| <i>(Witam państwa serdecznie...)</i>       | 59 |
| <i>Zmiana w płynie</i>                     | 60 |

## Drodzy Czytelnicy!

Różne bywają tria, trylogie i tercety. Różne bywają trójce – zdarza się, że, nierzadko nawet, niezbyt święte. Wiele istnieje triad, spośród których warto czasem wymienić te najbardziej znane, jak: wódka, zakąska i... to coś pomiędzy. Młot, kowadło i... to zdecydowanie nieodpowiednie miejsce dla jakiegokolwiek Embriona. Niemniej jednak liczba trzy została tu przywołana nie bez przyczyny – nie tylko bowiem, Drodzy Czytelnicy, macie przed sobą trzeci numer Embriona, ale i numer ostatni.

Przyczyn takiego stanu rzeczy jest wiele, mało tego, są one nierzadko prozaiczne, a nazbyt często wręcz skrajnie niepoetyckie. Pokładając wiarę (a jest doprawdy co pokładać) w przekonaniu, że żaden istniejący język nie jest zdolny dostarczyć nam środków, by wyrazić się w tym miejscu jaśniej, zmuszeni jesteśmy więc przejść do zakończenia. Liczymy, że długość naszego kroku podczas tego przechodzenia nie przyprawiła nikogo o zadyszkę oraz – co bardziej prawdopodobne – nie zmusiła nikogo do postukiwania obcasem ze zniecierpliwienia. A jest przecież takie postukiwanie wielce niekulturalne.

Dlatego też, pragnąc uchronić nieuważnych spacerowiczów przed uchybieniami natury towarzyskiej – wspomnieć musimy tu o rzeczy w zakończeniach często nadużywanej, nigdy jednak, wbrew pozorom, zbędnej. Mowa jest o nadziei i chcielibyśmy wyrazić ją w tym miejscu, licząc, że nasze trojaczki urodziły się w szpitalach Waszych Główn, Drodzy Czytelnicy, pozbawione nadprogramowych kończyn, ale niepozbawione wartości, czasem piękna, a zawsze – sensu.

**Xawery Żyrafa**

## Alexander Nowakowski

\*\*\*

Iść na rozprawę z mandragorami –  
sędzia wstaje i wrzeszczy  
prokurator pokrętnie wywija paluszkami  
rachityczne prostuje korzenie adwokat  
A ja – oskarżony o brak bulwiastości  
piętą wiercę kształt w kurzu posadzki

## **Dynamizm powietrzny**

Jakże może być Urszula adeptką lotnictwa, gdy jej szybkie, słoneczne kroki rozlegają się blaskiem na kamiennych posadzkach korytarzy.

Masywne kolumny gigantycznej sali drżą w posadach – huk rezonuje w ich korzeniach i w szparach hexagonalnych płyt r o z k w i t a kwiaty dwulistne.

Narodziny światła pod sklepieniami pałacu ludzkiego poddają w wątpliwość prawa aeronautyki – czy możemy być stworzeni dla przestworzy, jeżeli stopy nasze zatopione są w bazalcie?

\*\*\*

Isztar Inanna Asztarte patrzą na moje pogrążone w zamyśleniu palce  
gdy siedzę ponad dymem z zamiecionego miasta  
dlatego nagle wdycham –  
przyciskam szpilkami główki robaczków krążących wokół krwawych jezior  
wybuchających z rozplątanych dźwiękiem żył moich dłoni  
– Dzień dobry czułki badające to dziwne zjawisko  
witajcie skrzydełka złożone, ale gotowe do bicia  
zepsutego zapachem gnijącego ciała powietrza

### **Szczęśliwe życie pana Wiesława**

To mógł być wspaniały dzień, wypełniony słodkim odpoczynkiem nad brzegiem jeziora. Odprężającym bezruchem przerywanym jedynie wtedy, gdy trzeba było wyciągnąć na brzeg kolejną rybę. Niestety, zarówno to popołudnie, jak i całe życie pana Wiesława dalekie było od piękna. Po pierwsze – ryby nie brały. Po drugie – jesienne chłody zaczynały dawać o sobie znać, przez co bezruch pana Wiesława uniemożliwiał nieustanne dreszcze. Po trzecie wreszcie, mężczyzna musiał się już zbierać, aby zdążyć do pracy.

Pracował w dwóch miejscach. Znajomym chwalił się, że ma własny „biznes”. Tak było w istocie, jeśli biznesem można nazwać mały zakład zegarmistrzowski, w którym trzy razy w tygodniu Pan Wiesław spędzał pół dnia. Dodatkowo dorabiał jeszcze na stróżówce, o czym nie raczył pochwalić się nikomu. Podczas długich nocy, w ulokowanej przed fabryką dywanów budce, mężczyzna naprawiał zegarki powierzone mu przez klientów. Dzięki temu sprytnemu pomysłowi, z którego pan Wiesław był szalenie dumny, udawało mu się jakoś związać koniec z końcem.

Niestety jego wolna chwila nad jeziorem dobiegała końca, więc podstarzały, łysiejący kawaler musiał złożyć swój kupiony „od ruskich” sprzęt wędkarski i ruszyć do domu. Na ryby zawsze jeździł motocyklem. Była to piękna Honda Shadow, z pomarańczowo-czarnym bakiem. Pan Wiesław kupił ją dwa lata temu i od tamtej pory stała się najcenniejszą częścią jego dobytku. Klasyczny chopper przyciągał wiele spojrzeń, co podbijało ego wiecznego samotnika. Zawsze zauważał uśmiechy mijanych dziewcząt. Ignorując fakt, że ich miny rzedły, gdy tylko któraś zobaczyła, jak zdejmuje kask. Do motocykla przyczepione miał dwa plastikowe kufry, które paskudnie szpeciły klasyczną sylwetkę maszyny. W jednym woził wędkę, w drugim ewentualną zdobycz.

Gdy pan Wiesław dostojnie zasiadł na swojej Shadowce, zerknął jeszcze raz w kierunku jeziora, na wyścieloną złotymi liśćmi ziemię i bladożółtą trzcinę porastającą większość linii brzegowej – musiał upewnić się, czy niczego tam nie zostawił. Włączył silnik i ostrożnie ruszył pełną dróżką, oddzielającą pobliskie łąki od lasu. Wyjeżdżona przez samochody droga prowadziła przez piaski, które były bardzo uciążliwym podłożem, jednak przy odrobinie wprawy nawet pan Wiesław był w stanie sobie na nich poradzić. Zimny wiatr odbierał większość przyjemności z jazdy, przypominając tym samym, że koniec sezonu jest

bliski. Znow przyjdzie czas, by wstawić motocykl do garażu i zalegnąć na zimę przed telewizorem.

Gdy maszyna wytoczyła się na asfalt, mężczyzna w końcu mógł dodać trochę gazu i poczuć się jak hipis ze starego amerykańskiego filmu. W takich momentach zapominał o codzienności. Koncentrował się tylko na drodze i pędzie powietrza szumiącego mu w uszach. Szosa prowadziła przez las, a w obrębie wzroku nie było widać nikogo, dzięki temu Pan Wiesław chociaż na chwilę został sam na sam ze swoją iluzją wolności.

Nie dane mu było się nią długo cieszyć. Jakies dwa metry od jego pięknego motoru na ulicę wybiegł lis. Było zbyt późno, by hamować, jednak efekt zaskoczenia zrobił swoje. Mężczyzna gwałtownie wcisnął oba hamulce, wprowadzając tym samym maszynę w poślizg, który skończył się w rowie. Straszliwy ból pozbawił go świadomości.

Kiedy się ocknął, zdumiony spostrzegł własne ciało leżące pokracznie na ziemi, podczas gdy jego świadomość unosiła się w powietrzu. Po chwili do niego dotarło, że musiał umrzeć. Zginął jako kolejny motocyklista, któremu zostanie przypięta łatka pirata drogowego.

Stracił wszystko, na co tak długo pracował. Jego ukochany warsztat przestanie istnieć. Już nikt nie przyjdzie tam oddać zepsutego zegarka do naprawy. Z drugiej strony, nie miał stałych klientów, więc nikt pewnie nie zauważy, że w mieście jest o jednego zegarmistrza mniej. Jakby się tak zastanowić, jego biznes z roku na rok przynosił coraz mniejsze zyski. Pan Wiesław musiałby go zamknąć i żyć tylko z tego, co zarobi na stróżówce. Mężczyzna żałował trochę, że umarł, nie pozostawiając po sobie potomka. Pocieszała go myśl, że nigdy nie miał szczęścia do kobiet, więc dodatkowe kilka lat życia zapewne nic by w tym temacie nie zmieniły. Nawet jego Shadowka leżała teraz uszkodzona w rowie. Nie stać go było na remont, musiałby sprzedać ją na części, a poza nią zostało mu już tylko obskurne mieszkanie po matce.

Tego typu rozważania prowadziły do prostego wniosku – dobrze, że umarł. Na tym świecie nie było nic, co mogłoby go zatrzymać. Skoro nadal jest świadomy, znaczy że istnieje życie po śmierci. To może być nowy start! Może chociaż tutaj odnajdzie szczęście! Był pewien, że teraz będzie mu lepiej.

Nagle dostrzegł, że jego ciało drży. Zawieszona w przestrzeni świadomość pana Wiesława zaczęła być przyciągana. Starał się to zwalczyć, ale tajemnicza siła była zbyt potężna. Ocknął się. Znowu tkwił w swoim obolałym ciele. Żywy.



**Dawid Kraszewski**

**Muślin**

*Maciejowi W.*

Nitka czasu jest przezroczysta.  
Cienka jak dziecięcy włos.

Chcesz nawinąć ją na palce  
i upleść taki wiersz, że

gdy muśniesz naprężony wers,  
poczujesz wyraźnie drgnienie

Tego, Kto trzyma jej koniec  
i początek. Tymczasem

ona w powietrzu  
kreśli znaki.

## Take a five

Niedzielnny poranek z radiową Dwójką:  
z głośnika sączy się jazz; mleko puszy się  
do kawy jak saksofon w *Take a five*. Trójka:

wiadomości, pogoda i sport przemieszane  
w *Salonie politycznym* przypominają, że  
ma rację ten, kto jej nie ma – głośnik lewy  
zajadle brzęczy do prawego – przełączam

i Tadeusz Rydzyk Wielki Apostoł Maryi  
objaśnia geopolityczny układ sił, wymienia  
nowych ofiarodawców; światłem ciała jest  
oko, a duszy ucho, ucho igielne. Fale eteru wyrzucają

mnie nad Jeziorem Długim. Przykładam ucho  
do membrany wody i ucho do membrany nieba, i  
słucham Cię?

## **Zausznik**

Uwielbiam zapach wnętrza moich uszu.

No co? Nie krzyw się tak. Tak. Niby miód,  
ale nie miód, niby воск, ale nie daje płomienia.

Niby ciemność, a wszystko dokładnie słyszę. Słyszę  
twoje podśmiejki. Nie dam ci tej satysfakcji i nie  
obrażę się, bo choć niewiele widzę, to uwierz mi, że  
bawi cię moje ucho. I jest mi z tym dobrze. Jak w uchu.

**Podróż ponad celem**

Biegnij.

Nic innego ci przecież nie zostało. Wszystkie mosty dawno spalone, prawda?

Szybciej.

Nie masz czasu do stracenia. Mogą cię dopaść w każdej chwili. Wiesz o tym, czyż nie? Nie jest ci ciężko z tą świadomością? Ależ oczywiście, że tak – ale jednocześnie to ona dodaje ci sił. Ile już razy chciałaś się zatrzymać? Poddać?

Biegnij.

Nie oglądaj się za siebie. Tam już tylko ruiny. To, co liczy się naprawdę, może być tylko przed tobą. Innej prawdy nie ma.

Szybciej.

Kontroluj oddech. Nie chcesz chyba wszystkiego zaprzepaścić z powodu głupiej kolki? Widzisz tamtą górkę, przed tobą? Możesz się z niej sturlać. Co? Och, nie, oczywiście, że to szaleństwo. Jednak czyż nie wszystko, co robisz, jest szaleństwem? I jak? Tak źle było?

Biegnij.

Nie możesz dać się złapać. Dlaczego? A czy to ważne? Nie wszystko chyba musi mieć powód? Uważasz inaczej? Widzisz, kochanie, to i tak teraz nie ma znaczenia.

Szybciej.

Znów zwalniasz. Myślisz, że tego nie czuję? Słucham? Już nie możesz? Nie okazuj słabości! Oni też to widzą! Masz to gdzieś? Cholera jasna, czy ty nic nie widzisz? Próbuję cię uratować!

Biegnij.

Szybciej.

Tak, wiem. Po raz kolejny nic nie dało się zrobić.

## Domki z kart

Rozpoczynając swój dzień, jak zwykle najpierw udałem się do toalety. Nie od dziś wiadomo, że najlepsze plany i teorie powstają właśnie tam. Dlaczego? Czyżby mała przestrzeń pomieszczenia wzmagała koncentrację myśli? Całkiem możliwe. Tak czy inaczej, siedziałem i myślałem nad przebiegiem dzisiejszego dnia, gdy nagle do głowy wpadło mi TO. Olśniewająca myśl, kasująca wszystkie inne. Mianowicie myśl mówiąca, że...

...być może wszystko, co nas otacza, to złudzenie. Znajomości, które podnosiliśmy do rangi przyjaźni. Przyjaźnie, które podnosiliśmy do rangi miłości. Poglądy, które uważaliśmy za swoje. Sny, które błędnie zinterpretowaliśmy. Jawa, którą postrzegamy nie tak, jak trzeba.

Być może mam ochotę krzyknąć komuś w twarz, że jest głupcem. Nie krzyczę jednak – dlaczego? Dla spokoju sumienia? Czyjego? Mojego? Czy kogoś innego? Czy też może krzyczałem już tak długo i tak głośno, że dłużej i głośniejsze nie mogę? Czy ciężko mi ze świadomością, że wśród tysięcy głosów mój krzyk jest tylko szeptem? Czy w ogóle tego nie zauważyłem lub też – zauważyć nie chciałem?

Muszę zdecydować, czy zdejmuję klapki z oczu, czy zostawiam wszystko tak, jak jest – i żyję wygodnie? Nie wychodząc przed szereg, nie próbując iść pod prąd. Męcząc się wyłącznie świadomością, iż z kart darowanych nam przez los ułożyć można wiele, lecz że – żaden domek z kart nie będzie trwał wiecznie. Chociaż... w tym momencie przychodzi mi na myśl cytat z *Nędzników* Hugo. „Nic nie da się porównać z długotrwałością kupy kamieni, oprócz może ogrodzenia z desek. I jedno, i drugie jest prowizoryczne. Najlepszy powód, aby trwało bez końca.” Więc cóż. Może i domek z kart ma swą szansę na przetrwanie?

I gdy tak myślę nad domkiem z kart, nad jego szansami w tym wietrznym, okrutnym świecie, do mojej świadomości wdziera się nieubłagane pukanie do drzwi. Pukanie, którego powtarzalność jest przewidywalna i zaskakująca zarazem. Bądź co bądź, wybija mnie ono z rytmu. Domek się rozpada, teorie pierzchają po kątach, i tyle z mojej kariery wielkiego myśliciela.





**Słowa, słowa, słowa**

W stolicy Republiki Powszechnego Dobra noc nigdy tak naprawdę nie zapadała. Pod jej ciemnym płaszczem zmieniała się tylko rotacja ludzi chodzących po ulicach. Za dnia pełno tu było dorożkarzy, pięknych dam w długich sukniach i towarzyszących im dżentelmenów w nienagannie skrojonych marynarkach. Ale zachód słońca wyciągał z tego miejsca dużo ciekawszy element społeczeństwa. Żebracy, drobni kramarze bez licencji żyjący w przyciasnych przyczepach i złodziejaszki szukające szczęścia skrytego w kieszeniach przechodniów, wylegali chmarą na ulice. W bramach dilerzy narkotyków ukradkiem kusili biletami do „lepszego świata”. Na rogach ulic prostytutki machały do przechodniów swymi futrzastymi szalami, roztaczając wokół siebie słodki zapach zgnilizny. Artyści trotuarów z gitarami, harmonijkami i saksofonami siadali na krawężnikach, by porwać przypadkowych słuchaczy do wyszarpięcia z odmetów portfela kilku drobnych.

Ale działały się też wydarzenia ważne. Takie, o których prasa, jeśli się dowie, będzie mówić tak długo, aż dana osoba zniknie z życia publicznego, wcześniej doszczętnie opluta i upokorzona. Gwiazdy muzyki udawały się do cichych lokali, gdzie mogły wciągnąć nosami trochę natchnienia. Politycy w dyskretnych burdelach zaspokajali potrzeby, które już dawno zostały zbagatelizowane przez zimne ramiona ich żon. Prezydent miasta miał dokonać takiego właśnie czynu. Właściwie, jak zastanowił się przez chwilę Rayhund, klucząc uliczkami w długim płaszczu z postawionym wysoko kołnierzem, to jeszcze gorszego. Chciał wysłać list.

Stosunki pomiędzy Republiką a Syndykatem Wolnych Ludzi były napięte już od roku. Prezydent Republiki wymachiwał pięściami i organizował defilady, a przywódcy Syndykatu spokojnie odpowiadali, że za każdy cios na ich adwersarzy spadną trzy kolejne. Doszło nawet do zamknięcia granic. Zresztą nawet przed ich zamknięciem wysyłanie listów tradycyjną pocztą budziło podejrzenia i mogło skończyć się wizytą na komisariacie w celu złożenia wyjaśnień. Prezydent Krukowa miał wystarczająco dużo oleju w głowie, żeby nie organizować sobie podobnych kłopotów na pół roku przed wyborami samorządowymi, w których był zdecydowanym faworytem. Niestety, na jednym z balów, kiedy jeszcze stosunki dyplomatyczne pomiędzy tymi dwoma krajami nie przypominały przepychanki w piaskownicy, poznał piękną kobietę. Była ubrana wyzywająco, w długą za kolano, lateksową sukienkę. Połowę głowy miała wygoloną, ale po prawej stronie czaszki wytryskiwały bujne, kręcone, kruczoczarne włosy. Jej nieskazitelna twarz, miodowe oczy i pełne usta (w

połączeniu z wydatnym biustem, do czego prezydent z racji duszy romantyka nie przyznawał się nawet przed samym sobą) sprawiły, że stracił dla niej głowę tego samego wieczoru. Spędził z nią wspaniałą noc, a nazajutrz, gdy delegacja dyplomatyczna miała odjechać, przyrzekli sobie, że będą do siebie pisać listy, nim nie spotkają się ponownie. Od początku słał listy nielegalnie, za co groziła surowa kara. Był jednak pewien, że Penelopa w końcu rzuci swoją działalność polityczną w Syndykacie i przyjedzie do niego, by ułożyć sobie z nim życie. Wtedy będzie miał stanowisko i możliwość zapewnienia jej wszystkiego, czego zapragnie. Aby tak się stało, musiał wygrać wybory. Aby to osiągnąć, musiał uniknąć kompromitacji.

Ten niefortunny splot zdarzeń sprowadził go do miejsca, w którym obecnie się znajdował. Było to podwórze jakiejś zapyziałej kamienicy na skraju śródmieścia. Nie mieszkał tu nikt poza paroma menelami, cały budynek bowiem groził zawaleniem i miał trafić do rozbiórki lada dzień. Wreszcie, po kilku minutach czekania, usłyszał kroki. W półmroku pojawiły się dwie postacie, obracające wciąż głowy w poszukiwaniu zagrożeń. Byli to bracia Kahiril i My'shan. Gdy prezydent polecił swojemu zaufanemu asystentowi odnalezienie ludzi do takiego zadania, te dwa imiona były wymieniane przez przedstawicieli półświatka najczęściej. Mawiali, że ci kurierzy jeszcze nigdy nie wycofali się z powierzonego im zadania. Krążyła o nich nawet miejska legenda, opowiadająca o zleceniu, w którym mieli dostarczyć kilka kilogramów najzwyklejszej kielbasy, tak bardzo uwielbianej przez szefa mafii osiadłego na stałe w Syndykacie, ale wywodzącego się z Republiki. Gdy bracia dojechali na miejsce, okazało się, że został zastrzelony przy aresztowaniu i pochowany zanim zdążyli do niego dotrzeć. Wtargnęli więc nocą na cmentarz, odkopali nagrobek i wrzucili do środka paczkę wraz z pokwitowaniem.

Kilkanaście miesięcy temu spotkali się z prezydentem po raz pierwszy. Od tamtego czasu raz w miesiącu oni przynosili list od Penelopy, odbierali pokwitowanie, brali pieniądze za następną przesyłkę i sam list.

Ostatnie wydarzenia zmieniły aparycję prezydenta właściwie nie do poznania. Kiedy bracia po raz pierwszy go zobaczyli, był człowiekiem postawnym i władczym, a jego powoli łysiejąca głowa jedynie dodawała sylwetce Rayhunda powagi. Teraz, nadgryziony zębem czasu i zmartwieniami o przyszłość swej miłości, zgarbił się. Oczy cofnięte w orbitach patrzyły podejrzliwie na nich zza okopów fioletowych wgłębień. Głos często mu przygasał, a wychudłe palce skrobały nerwowo podbródek, na którym zaczęła gościć nieznana dotąd, włochata szczecina. Postronny obserwator, patrząc na tę sytuację, rzekłby, że człowiek w palcie zaraz zostanie okradziony, a może nawet pozbawiony życia. Spokojnym, lekkim

krokiem zbliżał się do niego Kahiril. Wysoki mężczyzna o długich włosach i krótko przystrzyżonej brodzie, ubrany w czarny płaszcz, także spodnie i buty z wysokimi cholewami jak u kawalerzysty. Jego bystre spojrzenie nie zdradzało przeważnie wiele poza lodowatym spokojem. Za nim stapał, rozglądając się na boki, jego młodszy brat, Mys'han. Ten przeciwnie, krótko przystrzyżony, nosił na sobie wytartą, skórzaną kurtkę i ubrudzone bojówki z niezliczoną liczbą kieszeni. Szedł zawsze trochę pochylony jak sęp oceniający swe najnowsze znalezisko.

– Dobry wieczór, panie prezydencie – rzekł Kahiril, składając jednocześnie Rayhundowi zamaszysty pokłon.

– Cześć, chłopaki – odparł mężczyzna z rękami w kieszeniach, chwiejąc się na piętach. – Macie dla mnie coś od Penelopy?

Mys'han wyciągnął z zakamarków swej kurtki kopertę i z uśmiechem wręczył ją Rayhundowi. Jeżeli prezydent próbował nawet ukryć swe emocje, to zobaczywszy tę przesyłkę zupełnie o tym zapomniał. Na jego policzki spadły dwie najszczerze łzy, gdy drżącą ręką sięgnął po list. Obracał go przez chwilę w palcach niczym miniaturowy cud, który trafił w jego ręce całkowicie nieprawdopodobnym przypadkiem. Szybko opanował się jednak i sam z kieszeni dobył swą kopertę.

– Proszę bardzo – rzucił roztrzęsionym głosem, który, miał nadzieję, brzmiał choć trochę oficjalnie.

Kahiril wziął przesyłkę i ukrył ją w czeluściach płaszcza. Obaj bracia obdarowali prezydenta długimi, pełnymi wyczekiwania spojrzeniami, kiedy ten powrócił do pieszczenia dopiero co odebranego listu. Gdy Rayhund podniósł wzrok znad koperty, wybałuszył oczy i wyciągnął z kieszeni spodni plik banknotów zwiniętych w rulon.

– No tak, oczywiście. Tu jest zapłata za usługę.

Kahiril pobieżnie przeliczył kwotę, po czym uśmiechnął się i podał ją bratu.

– Straż graniczna jest bardziej czujna ostatnimi czasy – zaczął, a gdy zauważył, że prezydent Krukowa spieszenie klepie się po kieszeniach, dodał – Nie, nie o to chodzi. Chciałem tylko powiedzieć, że dostarczenie listu może zająć trochę więcej czasu. Musimy być ostrożni.

Prezydent Krukowa przytaknął i wbił wzrok w ziemię. Mys'han spojrzał nań z politowaniem.

– Proszę cieszyć się listem w domowym zaciszu, a resztę zostawić nam.

Rayhund spojrział z wdzięcznością na braci, po czym spieszonym krokiem oddalił się w kierunku centrum. Dwaj mężczyźni długo wpatrywali się w jego cień tańczący w zaułku, aż i ten zniknął gnany niepohamowanym pragnieniem otwarcia przesyłki.

– Jest niespokojny – rzucił Kahiril.

– O nią?

– O nas.

– A ty? – zapytał z uśmiechem Mys’han, licząc pieniądze wydobyte z koperty. – Wszystko mamy ustawione. Co prawda zajmie to więcej czasu, ale...

– Nie chodzi o przesyłkę, głąbie. Rayhund boi się, że go wydamy – syknął brat, rozglądając się powoli po ciemnym dziedzińcu.

Nerwowe palce przebierające banknoty zamarły. Zamiast tego lewa ręka powoli sięgnęła po kopertę, z której zostały wyciągnięte.

– Koperta z makulatury...

– Zamiast tej z białego papieru, do którego dostęp mają tylko bogatsi mieszkańcy miasta – dokończył Kahiril.

– I co teraz?

– Idziemy do Kilha, wymieniamy walutę i pakujemy się do wyjazdu. Nie będziemy porzucać tej roboty ze względu na jakąś durną kopertę. Po prostu bądźmy czujni.

----

Pub „Generał” był jedną z wielu spelun w mieście. W nim ludzie, którzy swe życie przegrali w karty, przepili lub zmarnowali w jakiś bardziej wyrafinowany sposób, mogli spokojnie doczekać jego końca nad szklanką ulubionego, trącałego rdzą z nalewaka trunku. Oczywiście zdarzała się również młodsza klientela. Oni dopiero zmierzali do przegrania jedynej szansy, jaką mieli na tym padole, wikłając się w drobne kradzieże, rozboje i handel narkotykami. Jakiś czas później, tak jak ich poprzednicy, zasiądą przy barze, gdy ich twarze przeszyją zmarszczki, a na czołach zagości srebrny włos. Ale teraz byli jeszcze królami życia. Snuli marzenia o zdobyciu fortuny i wyrwaniu się z Republiki albo dołączenia do jej wyższych sfer. Właśnie takich sześciu wyrostków stało na dziedzińcu „Generała” i, paląc papierosy, narzekało na starego pasera, zaniżającego ceny fantów. Ich nieformalnym przywódcą był De’rek. Liczył sobie dwadzieścia wiosen, ale zdążył już jedną z nich odsiedzieć za włamanie z bronią w ręku. Był jeszcze zbyt cienki w uszach, żeby zyskać miano dużego gracza w przestępczym półświatku, ale z powodzeniem mógł dla swoich młodszych

kolegów grać rolę mentora. Rok spędzony w więzieniu dał mu niezbędne kontakty w rozwoju kariery zawodowej. Za pomocą kradzieży chciał zebrać kapitał, który następnie wykorzysta na rynku przemysłowym, a ten niewielki gang miał mu w tym pomóc.

Der'ek uśmiechnął się pod nosem. Przez bramę w kształcie łuku weszło dwóch młodych mężczyzn, którzy wyglądali dla niego jak dodatkowe źródło dochodu. Wyższy miał na sobie trochę za mały płaszcz, który przyozdobiony był kaskadą kasztanowych włosów sięgających aż do pleców. Minę miał skupioną i poważną, pomimo dość przyjemnej aparycji. Drugi, niższy, miał naciągniętą na głowę czapkę z daszkiem, a jego ręce ubrane w czarne rękawiczki bez palców niespokojnie bujały się w takt chodu. Der'ek kiwnął głową i wraz ze swymi kolegami zagroził dwóm wędrowcom wejście do lokalu.

– Dzisiaj wstęp płatny – powiedział uśmiechnięty, odsłaniając garnitur złotych zębów.  
– Impreza zamknięta.

– Nie widziałem cię tutaj ostatnio. Myślałem, że „Generał” nie ma bramkarza – odparł Kahiril, mierząc wzrokiem członków gangu Der'eka.

– Jestem tu nowy.

– No to długo tu nie popracujesz... – starszy kurier zaczął sięgać prawą ręką za plecy. Mys'han delikatnie pociągnął brata za ramię i uśmiechnął się do Der'eka.

– Ile za wstęp? – zapytał.

– 10 marek od łba.

Mężczyzna wyciągnął z wewnętrznej kieszeni kurtki plik banknotów, odliczył sumę, po czym wręczył ją zdeorientowanemu Der'ekowi.

– Dziękujemy – rzucił.

Następnie szarpnąwszy brata za ramię, podszedł z nim do drzwi. Już miał nacisnąć klamkę, gdy padły te oto słowa z ust samozwańczego bramkarza:

– Lepiej trzymaj tego kudłatego gnoja na smyczy, bo jeszcze kiedyś oberwie.

Kahiril westchnął i zamknął oczy. Dobrze wiedział, co się teraz stanie.

– Jak nazwałś mojego brata? – powiedział cicho Mys'han nie drgnąwszy nawet odrobinę.

– Powiedziałem że jest...

Nie skończył. Kurier błyskawicznie odwrócił się o 180 stopni i wystawił w stronę Der'eka prawe ramię. Szybko skierował zaciśniętą pięść w dół i wtem z rękawa ponad nadgarstkiem wysunęła się krótka lufa. Po dziesięciu rozległ się strzał, a po nim nastąpił głuchy huk pleców Der'eka, twardo lądujących na bruku. Kilka metrów obok niego potoczyła

się bezgłośnie zdeformowana, gumowa kula. Kahiril odwrócił się na pięcie i spojrzał na sześciu przestraszonych wyrostków.

– Zaczniecie spieprzać czy poczekacie, aż mój brat przeładuje? – zapytał.

Ze względu na fakt, że więzy pomiędzy młodymi kryminalistami są budowane na mocnych podstawach lojalności i zaufania, reszta gangu rzuciła się pędem do bramy i popędziła w miasto, zostawiając za sobą tylko niknące w oddali crescendo kroków. Mys’han podszedł do nieprzytomnego Der’eka i podniósł leżące obok niego dwadzieścia marek.

– Musisz lepiej nad sobą panować – powiedział, patrząc na banknoty.

Kahiril zaśmiał się tylko i pchnął drzwi do lokalu. W środku powitał ich ten sam widok, który widzieli dziesiątki razy. W niewielkiej sali w kształcie kwadratu stały trzy stoliki ze starego, ciemnego drewna, błyszczące od brudu, jakby dopiero co zostały polakierowane. Przy każdym z nich stały po dwa zdezelowane krzeselka. Pod ścianą był bar z przymocowanymi na stałe stołkami. Na nich zasiadało dwóch brodatych bywalców, którzy jak co dzień wlewali w siebie hektolitry cienkiego piwa z mętnych niczym bagno kufli. Gruba barmanka, przecierająca jedyną czystą szklankę w całym przybytku (w tej akurat robiła sobie kawę), wskazała kiwnięciem głowy drzwi na prawo.

– Czeka na was – chrapnęła, nie odrywając się od swego absorbującego zajęcia.

W następnym, dużo mniejszym pomieszczeniu było pełno rupieci. Przynajmniej tak wyglądały na pierwszy rzut oka. Leżały rozłożone niedbale pod ścianami, tworząc ciasne przejście do biurka, za którym siedział dość otyły facet z niezadbany zarostem, znany jako Kilh. Kurierzy dobrze wiedzieli, że większość z tych „śmieci” to wymyślne narzędzia do siania zniszczenia. Kilh był świetnym paserem, do tego właścicielem tej speluny, ale to, co najbardziej go podniecało, to sprzedaż broni. Ale nie było jakich pistoletów, karabinów i granatników. Bagnet ukryty w pojemniku przypominającym do złudzenia baterię prysznicową był najmnij dziwnym akcesorium w jego asortymencie. Mys’han i Kahiril lubili do niego przychodzić nie tylko dlatego, że Kilh był zawsze uradowany ich wizytą i dawał im dobre zniżki na sprzęt. Wybieranie ekwipunku u niego było przede wszystkim świetną zabawą.

– Cześć, Kilhu – zawołał od progu Kahiril z niewymuszonym uśmiechem na twarzy.

– No hej – odpowiedział paser, tonem głosu dostrajając się do najbardziej zrelaksowanego człowieka na świecie.

– Jedziemy w trasę i potrzebujemy uzupełnić zapasy – rzekł Mys’han, podchodząc razem z bratem do biurka i opierając na nim dłonie. Zauważywszy jednak, że niepokój przemknął po twarzy handlarza od razu dodał – no i oczywiście kupić coś nowego, jeśli będziesz miał jakiś interesujący sprzęt.

Kilh uśmiechnął się od ucha do ucha.

– Dobra, chłopaki! To żadna zabawa w kółko tylko kupować amunicję i amunicję. Nie przyszlście tutaj jak do spożywczaka po pół litra i jakiś chleb, żeby stara wam dupy nie truła. Na końcu powiecie mi, co tam wam trzeba, ale na razie zobaczcie, co mi ostatnio wpadło w łapy.

To powiedziawszy, zatarł ręce i zniknął na chwilę, robiąc dwa kroki w lewo i ukrywając się za kurtyną gratów przy akompaniamencie trzasków i przekleństw. Mys'han, jak za każdym razem, uświadomił sobie, że ten pokój musi być olbrzymi. Zdarzało się, iż Kilh brnął tak daleko w poszukiwaniu tego jednego wynalazku, którego znalezieniem chciał się z nim i z jego bratem podzielić za odpowiednią cenę, że prawie nie było słychać jego głosu. Oczywiście procedura zawsze była ta sama, kurierzy przychodzili i grzecznie czekali za blatem biurka. Nigdy nie zwiedzali tego trącego stalą dominium, którym sprawnie zarządzał Kilh. Ciekawe, ile...

Coś stuknęło go w kostkę. Spojrzał w dół. Na niewielkim wózku, który podczas swoich lepszych dni służył jako podkładka do leżenia na plecach podczas naprawy samochodu, został zamontowany miotacz ognia z pancerną obudową osłaniającą zbiorniki paliwa. To niechciane dziecko Leonarda da Vinci i pana Miecia wyciągnął z rumowiska Kahiril.

– Nogi mi w tyłek włożą – wyjaśnił, sadowiąc się na jednym z cylindrycznych pojemników okutych stalą. – Siadaj.

Mys'han już chciał się kłócić z bratem na temat tego, czy ryzyko przypadkowego urwania klejnotów rodowych przez źle zamontowany zbiornik z paliwem jest warte tej chwili komfortu, ale za chwilę przeszło mu przez głowę dziesięć innych sytuacji, w które do tej pory się wpakowali, więc jedynie wzruszył ramionami i usiadł obok niego. Chwilę później wrócił Kilh, kładąc na biurku starą płócienną torbę, wypełnioną jakimś żelastwem. Handlarz usiadł wygodnie na skrzyni po amunicji, która zawsze służyła za jego fotel i wyciągnął z worka pierwszy przedmiot. Była to krótka, cienka metalowa rurka. Z boku wystawało niewielkie kółko, przypominające zawleczkę.

– Granat? Na poważnie?

– Przestań sobie jaja robić, Kilh, przecież dobrze wiesz, że my nigdy nie... – rzucił zrezygnowany Kahiril, przejeżdżając kciukiem po swym gardle, kiedy wymawiał ostatnie słowo.

– To nic z tych rzeczy – odparł Kilh, podnosząc rękę do góry, aby zahamować tę falę zażenowania. – Patrzcie na to.



Wyciągnął zawleczkę i cisnął nie-granatem w drzwi, którymi weszli bracia. W drodze przedmiot eksplodował z głośnym sykiem, pozostawiając na całym wejściu brunatną plamę. Kahiril spodziewał się, że zaraz zacznie spływać po drewnie. Tak się jednak nie stało. Substancja od razu zastygła, zostawiając grubą na kilka centymetrów kałużę przylepioną do drzwi i ściany.

– A teraz je otwórzcie.

Bracia spróbowali wypełnić polecenie. Jednak nawet kiedy szarpali we dwóch, wyjście odstępowało framugę tylko na parę centymetrów, nim wróciło z powrotem. Plama wyglądała na solidną porcję wtopionej gumy, pomimo tego, że podczas lotu była całkowicie płynna.

– No dobra, cwaniaku – powiedział Kahiril, będąc pod wrażeniem prezentacji. – A jak mamy stąd wyjść bez użycia maczety?

Kilh zaśmiał się, po czym z jednej z szuflad w biurku wyciągnął balon wypełniony wodą i rzucił nim w tym samym kierunku, w którym jeszcze chwilę wcześniej poleciał ów dziwny nie-granat. Bracia krzyknęli chórem, gdy opryskał ich zimny płyn. Mys’han już chciał wygarnąć Kilhowi za ten głupi dowcip, ale dostrzegł kątem oka, jak owa guma, której nie mógł ruszyć z miejsca wspólnie z bratem, odkleja się ciężkimi grudami od drzwi. Po kilku sekundach jedynie kilkanaście brązowych bryłek było świadectwem rozległej plamy uniemożliwiającej opuszczenie pokoju.

– Niesamowite – powiedział młody kurier do siebie.

– Następny eksponat.

Kilh rozłożył na blacie półmetrowy, stalowy szkielet o walcowatym kształcie. Opinały go trzy skórzane pasy z dziurkami, wyglądające zupełnie jak paski do spodni, tyle że węższe. Na drugim końcu znajdował się miękki uchwyt umocowany na sprężynach, do którego przyspawany był gruby klocek pofalowanego metalu. Z tyłu tej konstrukcji wychodziły dwie rurki, które były przykręcone do zbiornika ze sprężonym powietrzem.

– Przedstawiam wam „piąchę” – zaczął prezentację Kilh tonem, jakim zwykle opowiada się znajomym o nowym aucie. – Nazwa jest adekwatna do przeznaczenia. To urządzenie po prostu wali w ryj. Mocujecie je na przedramieniu. O ta-ak. – Paser zacisnął paski na przedramieniu. – A zbiornik po prostu chowacie sobie w kieszeń. Tej kwestii nie rozwiązałem. Teraz „piącha” jest gotowa do użycia. Żeby zacząć robienie z mordy marmolady robicie wymach ręką... – Kilh wykonał gest uzbrojoną dłonią, jakby chciał się z kimś przywitać i uchwyt wskoczył w nią miękko, tworząc razem z metalowym blokiem coś w

rodzaju kastetu – i następnie wykonujemy delikatny ruch nadgarstkiem w dół. Podaj mi tę deskę.

Kahiril odwrócił się i zobaczył za sobą krótką, drewnianą deskę o grubości kilkudziesięciu centymetrów. Podał ją właścicielowi „Generała”. Ten ujął ją lewą ręką, po czym podrzucił do góry i gdy ta zaczęła spadać spod sufitu, podniósł uzbrojoną prawicę i pociągnął za uchwyt. Zagrzmiął głośny trzask i na przeciwległy kraniec pomieszczenia spadły dwa złamane kawałki drewna.

– Nieźle – rzucił Mys’han.

Kilh wyciągnął z torby dwa czarne jak smoła, metalowe przedmioty.

– Pałki teleskopowe?

– Ale nie byle jakie. Są zrobione z włókna węglowego, więc nie ma szans, żeby zaczął jęczeć jakiś wykrywacz metalu w ich obecności. Mniejsze, lżejsze i trwalsze od tych kijków, które masz na plecach – tu Kilh wskazał palcem na Kahirila. – Pokryte specjalną farbą absorbującą światło. Nie do wykrycia w ciemności.

Starszy brat Mys’hana poskrobał się po brodzie.

– Lubię drewno. Można na nim polegać. Poza tym przywykłem do niego. Masz coś jeszcze?

Paser wzruszył ramionami i całkowicie już opróżnił torbę, wyciągając dwie szarawe kamizelki kuloodporne.

– Myślałem, że o uzupełnianiu zapasów pogadamy później...

– To nie są zwykłe kamizelki – odparł Kilh, delikatnie urażony tą uwagą. – W tym miejscu – tu wskazał obszar, który przylega do klatki piersiowej na wysokości serca – jest guzik. Musisz w niego uderzyć, bo czułością raczej nie grzeszy, zupełnie jak moja stara. Gdy go naciśniesz, ze spodu wypadają cztery porcelanowe płytki. Cienkie są jak kartka, więc wystarczy, że dotkną czegośkolwiek i od razu się rozpieprzają. W środku jest substancja, która tworzy zasłonę dymną o 50% szybciej niż jakiekolwiek inne granaty. Na instrukcji jest napisane, że obłok powinien utrzymać się przez 10 do 15 minut.

Kilh wręczył kurierom instrukcję.

– Logo sił zbrojnych Syndykatu? – zapytał z niedowierzaniem Mys’han. – Nie jestem w stanie nawet zgadnąć, skąd masz taki towar...

– A ja nie jestem w stanie zgadnąć, jak przekraczacie we dwóch zamkniętą granicę, ale ważne jest, że pomagamy sobie nawzajem.

Kahiril spoważniał.

– Nie chcesz od nas pieniędzy. Chcesz coś przesłać.

Kilh wił się chwilę pod jego surowym spojrzeniem.

– To taka drobna rzecz. To wszystko i amunicję dostaniecie za darmo, ale muszę...

– Ile waży?

– Jakieś dwadzieścia kilo.

– Ile?! – krzyknął Mys’han. – Wiesz, że nie możemy tego zrobić.

– Co to jest? Narkotyki? – zapytał podejrzliwie Kahiril.

– Nie no, co wy, chłopaki. Przecież wiecie, że bym was tak nie wrobił. Macie swoje zasady i tak dalej – tu Kilh zakręcił młynek nadgarstkiem. – To książki.

– Że co?

– Książki. Jakieś stare, obite twardą oprawą i ciężkie jak cholera. Sprzedałem je dziwakowi z Syndykatu.

– Daj to swoim koleżkom przemytnikom – rzekł Mys’han, dając swym tonem głosu do zrozumienia, że owa profesja stoi piętro niżej od prostytutek.

– Nie mam do nich zaufania. Mówimy tu o naprawdę grubej kwocie.

Kahiril nachylił się nad blatem.

– Jak grubej?

– 200 tysięcy marek.

– Ja pierdolę – Mys’han wybałuszył oczy.

Kilh podniósł palec wskazujący do góry.

– Mogę wam z tego odpalić 25 patyków, ale paczka musi dotrzeć do stolicy pojutrze.

Kahiril zmrużył oczy. Ich ojciec zawsze powtarzał, że prawdziwy sukces osiągną tylko ci, którzy potrafią podjąć dobrze wykalkulowane ryzyko. To odróżnia prawdziwych mężczyzn od tchórzy i głupców.

– Dobra. Bierzemy to.

Kilkanaście godzin i kilkaset kilometrów później, na skraju leśnej skarpy zatrzymał się przyrdzewiały, ciemnozielony camper, z którego wysiedli kurierzy. Pomiędzy Syndykatem a Republiką leżał pas ziemi niczyjej. Był to olbrzymi obszar, ciągnący się setki kilometrów wzdłuż obrysu obu państw. Wyznaczał on ostatnią granicę frontu, na której zatrzymał się konflikt pomiędzy tymi dwoma molochami. Większość tych terenów nie musiała być nawet specjalnie strzeżona ze względu na olbrzymią ilość niewypałów, min i zasieków, jakie pozostawiły obie walczące strony. W czasach dobrej koniunktury dyplomatycznej istniały połączenia kolejowe i drogowe, biegnące przez te tereny, najczęściej ogrodzone dźwiękoszczelnymi barierami wymalowanymi w kwiaty. Niestety zamknięcie granic oznaczało, że każdy, kto chciał przeniknąć z jednego państwa do drugiego, musiał użyć tej

niesamowicie niebezpiecznej i ponurej drogi. Straż graniczna Republiki nie była żadnym problemem. Bracia płacili im niewielki datek na cele charytatywne, takie jak konserwacja dziury w elektrycznym płocie lub opieka nad bezbronnym camperem pozostawionym w środku lasu. Prawdziwe trudności zaczynały się dopiero z Syndykatem, który dużo lepiej opłacał swe służby. To zmartwienie jednak zawsze pozostawało na koniec podróży i jedynym rozwiązaniem tego problemu na jakie wpadli kurierzy było: improwizować.

Teraz stali jeszcze przy otwartych tylnych drzwiach wozu i wybierali ekwipunek, pakując go do plecaków.

– „Pięcha” odpada. Jest za ciężka - powiedział Kahiril po chwili namysłu.

– Wszystkie lesbijki Syndykatu płaczą.

Starszy brat Mys'hana parsknął śmiechem. Popatrzył na niego z uniesioną brwią, gdy ten wyciągnął pałki teleskopowe.

– Nie wezmę ich.

– Wolisz polegać na dwóch kawałkach drewna?

– Na drewnie wbrew pozorom można polegać - odparł Kahiril tonem, który oznaczał koniec dyskusji na dany temat. – Weź z pięć tych lepkich bomb.

– Kamizelki?

– Do plecaków. Ubierzemy je, jak tylko przekroczymy granicę.

Mys'han przytaknął, po czym spojrzał na zachodzące słońce. W ostatnich swych refleksach nadawało szaremu pustkowiu, na które właśnie mieli wkroczyć, złowrogą, krwawą barwę. Następnie zwrócił swe smutne oblicze w kierunku brata.

– Kocham Cię.

Kahiril uśmiechnął się i złapał Mys'hana za potylicę.

– Nie myśl w ten sposób. Robiliśmy to już setki razy – przytulił go do siebie i dodał. – Ja Ciebie też. A teraz ubieraj te debilne ciuchy i lecimy z tym koksem.

Bracia przebrali się w lateksowe, czarne stroje, szyte według najnowszego krzyku syndykatowej mody. Na nie narzucili szare, poplamione spodnie i kurtki. Na nogi włożyli ciężkie, wojskowe buty a eleganckie pantofle, mające stać się częścią ich kamuflażu po przejściu granicy, przywiesili za sznurówki do zapieć brudno-szarych plecaków. Następnie sprawdzili jeden drugiego, czy żaden nie ma wystających klamerek lub zapieć, których refleksy przy księżycu mogłyby ściągnąć czujne oczy strażników, po czym zamknęli auto i ruszyli przez dziurę w dół zbocza. Zsuwali się po nim przez kilkanaście metrów, powoli, żeby nie wzniecić zbyt wielu tumanów kurzu, po czym przykucnięci ruszyli przed siebie. Mys'han szedł z tyłu, niosąc paczkę przytuloną do klatki, jakby było to małe dziecko, a nie parędziesiąt

kilogramów książek wartych dwieście tysięcy marek. Pierwsze paręset metrów doliny pokonali szybkim truchtem, aż dotarli do pierwszego okopu. Skryli się w nim, osiadając mocno na piętach.

– Nie jest ci ciężko? – zapytał Kahiril, wychylając się nieznacznie, żeby przejrzeć dawne pole bitwy w poszukiwaniu zagrożeń.

– Nie. Zmienimy się za dwie godziny, tak, jak ustaliliśmy.

Bracia przesiedzieli chwilę w okopie, nasłuchując kroków. Nie usłyszawszy niczego, wygramolili się z niego i szybkim truchtem biegli przez kilkadziesiąt minut. Przy szerokim, płytkim dołku w kształcie talerza przyspieszyli, by w pełnym pędzie wpaść do zniszczonego pociskiem artyleryjskim fragmentu umocnienia. W czasach swej świetności był to podziemny barak, w którym pomieścić się mogło na pryzkach 24 żołnierzy. Teraz kilka przegnitych desek wraz z okazałym dołem stanowiło po nim smutne wspomnienie. Gdy po chwili wyęźniania słuchu Mys'han chciał wyskoczyć w dalszą drogę, Kahiril chwycił go za kurtkę i szarpnął do tyłu.

– Mówiłem Ci, że dam radę... – podjął młody kurier, zsuwając się na kolanach w dół leja.

– Zamknij się – syknął Kahiril, zasłaniając bratu ręką usta. – Kruki.

Dopiero po chwili Mys'han usłyszał ciche szuranie po żwirze, które z każdą sekundą stawało się coraz głośniejsze. Jego kompan miał rację. Nadchodziły Kruki.

Pod koniec długiej wojny szala zwycięstwa zaczęła przechylać się na korzyść Republiki Powszechnego Dobra, pomimo oczywistej przewagi technologicznej Syndykatu Wolnych Ludzi. Generałowie tej drugiej strony zgodzili się na zastosowanie eksperymentalnego gazu bojowego. W założeniu ta nowoczesna neurotoksyna miała wyłączyć inhibitory agresji w mózgu ofiary, sprawiając, że będzie się ona rzucać na swych kolegów z oddziału i zabijać ich bez wahania. Dowódcy byli jednak niesamowicie rozczarowani. Gaz bowiem nie działał natychmiastowo, ponadto był znacznie silniejszy, niż się spodziewano. Dopiero po miesiącu do szpitali obu państw, objętych już wtedy rozejmem, przybyli pierwsi pacjenci. Początkowe objawy były niegroźne. Wszyscy dotknięci działaniem toksyny skarżyli się na bóle głowy i krótkie zaniki pamięci. Lekarze zajmujący się owymi przypadkami szukali guzów mózgu lub odsyłali zdemobilizowanych żołnierzy do psychiatrów. Problem w diagnozie polegał na tym, że z takimi symptomami zgłaszały się również żony owych kombatantów, a nawet pracujący w magazynach Syndykatu robotnicy, mający chwilowy kontakt z granulatem przez odzież ochronną. Następnie dochodziło do powolnej degeneracji podstawowych zachowań społecznych i nagłych ataków wściekłości.

Zaniki pamięci stawały się coraz częstsze, aż wreszcie dotknięci działaniem gazu stawali się jak zaszczute psy, powodowane jedynie żądzą krwi. Większość ofiar trafiała do szpitali psychiatrycznych. Duża część byłych żołnierzy wróciła jednak na ten pas zniszczonej ziemi, bowiem traumatyczne doświadczenia dotyczące walki w błotnistych okopach wypalały się jako ostatnie. I one jednak zanikały, a dawni szeregowi łączyli się w stada polujące na każdego, kto wchodził na ich terytorium, a także nawet na siebie nawzajem. Ich członkowie porozumiewali się ze sobą za pomocą gardłowych charknięć i pisków. Ze względu na czarne od piachu twarze i ubrania przemytnicy zaczęli nazywać ich Krukami. Tak oto młodzi ludzie, rzućeni przeciwko sobie przez konflikt interesów przywódców państw, w których żyli, wciąż pokutują za ich grzechy. Propaganda Republiki Powszechnego Dobra szybko podchwyciła temat bestialskich form walki Syndykatu. Jeszcze szybciej ukręcono sprawie łeb, gdy wyszło na jaw, że nad poszkodowanymi weteranami nie zapanowano i przedarłszy się do granicy żyją na niej jak zwierzęta. Społeczność Syndykatu natomiast, wciąż zalewana nowymi porcjami informacji, w ogóle nie dowiedziała się o tej tragedii. Rodziny ofiar zostały opłacone, a rewelacje dostarczane drogą pantoflową, których źródłem byli głównie przemytnicy, traktowano jako fantastyczne opowieści zwolenników teorii spiskowych.

Jednak te skazane na wymarcie przedmioty plotek szły powoli w kierunku kurierów. Kahiril podczołgał się wyżej do granicy leja i sięgnął prawą ręką za plecy. Mys'han szybko dopadł brata i chwycił go za przegub, kręcąc głowę. Zastygli tak w bezruchu niczym żywa rzeźba, gdy dotarło do nich szuranie buta, nie więcej niż metr od miejsca, w którym leżeli. Usłyszeli ciche sapanie. Przemytnicy powtarzali, zwykle po trzecim kuflu piwa, że Kruki walczą z niesamowitą siłą i szybkością, niewrażliwi na ból. Jedynym, co może ich zatrzymać, jest śmierć. Bracia usłyszeli, jak teraz ów dziki człowiek, który odłączył się od większej grupy będącej nieopodal, wciągnął nosem powietrze i zaczął mlaskać. Wszyscy świadomi istnienia Kruków dobrze wiedzieli, czym się żywią. Ciał ich ofiar nigdy nie odnaleziono. Co najwyżej kości. Kahiril spojrzał na brata, a ten ponownie pokręcił głową, która w ciągu minuty zrosiła się potem. Wtem zagrzmiął potężny ryk, wstrząsając kurierami na podobieństwo elektrowstrząsów. Ów głos należał do przywódcy stada. Przywoływał on w ten sposób samotnego marudera, przyglądającego się bez celu wielkiej dziurze w ziemi. Kruk szczerknął ludzko i potruczał do swej watahy. Gdy kroki ucichły, bracia westchnęli i zsunęli się powoli po wzniesieniu, relaksując mięśnie napięte przed chwilą do granic możliwości.

----

Kolorowe refleksy neonów padały na porozrzucane kleksami kałuże na ulicach Wizny, stolicy Syndykatu Wolnych Ludzi. Dyskotetki i bary tętniły życiem. Tam, w rozrywkowych

lokalach bawili się niemal wszyscy. Brak prohibicji i twardo wyznaczonych ról społecznych, tak dziwny dla mieszkańców Republiki, sprawił, że nocne życie w Wiźnie było dużo bardziej kolorowe i otwarte niż to krakowskie. Po asfaltowych deptakach spacerowały pary, których niewielki procent był złożony z przedstawicieli tej samej płci. prostytutki nie chowały się w ciemnych zaułkach, lecz wystawały z okien legalnych, opodatkowanych i objętych specjalną opieką medyczną domów publicznych. Nowoczesne samochody, błyszczące i nietknięte przez rdzę sunęły cichutko szerokimi ulicami. Wśród rozbawionych ludzi było dwóch przechodniów, którzy pomimo modnych ubrań trochę wyróżniali się z tłumu. Kahiril niósł paczkę ze wzrokiem twardo utkwionym przed siebie, a Mys'han towarzyszył bratu, rozglądając się nerwowo. Wyglądali dość śmiesznie w środku tego tętniącego feerią barw żywego dowodu na zwycięstwo karnawału nad postem. Szybko skręcili jednak w ciemniejszy zaułek i zapukali do metalowych drzwi, wyglądających, jakby nikt ich nie używał od wieków.

– To tu? – zapytał Kahiril, poprawiając chwyt na paczce i oceniając wzrokiem miejsce, z którego zaraz miał wyjść bogatszy o 100 tysięcy marek.

Mys'han skinął głową, po czym walnął pięścią kilka razy w stalową futrynę. Wreszcie usłyszeli przytłumione kroki i nerwowe odblokowywanie zamków po drugiej stronie. Z uchylonej szpary wychynęła pomarszczona jak świeżo uprana koszula twarz mężczyzny w podeszłym wieku.

– Niestety nie wiem, kim jesteście – chrapnął opryskliwie.

– Jestem nikim i niosę nic – odparł Mys'han.

Na wiekowym, chmurnym obliczu przez chwilę zagościł uśmiech. Drzwi zamknęły się ponownie, jednak tylko po to, aby po kilku nerwowych komendach otwały swe podwoje na pełną szerokość. Ukazywały one długi korytarz, gubiący swój koniec w mroku. W odległości kilku metrów od wejścia stało dwóch zapryszczonych chłopców, którzy, mając do tego sylwetki niczym z greckich posągów, najwyraźniej spędzali wolne wieczory na siłowni. W rękach trzymali pordzewiałe strzelby opuszczone lufami w stronę podłogi, choć bez wątpienia jeszcze sekundę temu wycelowane były w kierunku kurierów. Starzec z wymuszonym grymasem na ustach, który w założeniu miał chyba wyrażać serdeczność, zaprosił gestem dłoni do środka. Kahiril spojrzał wymownie na swojego partnera, po czym obaj przekroczyli próg. Zostali następnie zaprowadzeni do małego gabinetu, przechodząc przez sporą salę, w której za prowizorycznymi ławami siedziało kilkudziesięciu nastolatków. Niektórzy z nich mieli ogolone głowy. Starzec niemalże przebiegł przez to pomieszczenie. Zwolnił dopiero tempo, zamykając drzwi do swego pokoju. W jego środku stało biurko, na którym leżały bezładnie porozrzucane, pożółkłe papiery. Na podłodze w metrową wieżę ustawione były

książki, ledwo zostawiające miejsce dla trójki ludzi i starej sprężynowej pryczy, wciśniętej niedbale w kąt. Mężczyzna uprzątnął z grubsza blat, a gdy na przygotowanym w ten sposób miejscu wylądował karton, zajął się gorączkowym jego otwieraniem. Mys'hanowi mignęła jedna z okładek błyskawicznie zeń wyciąganych woluminów.

– Bee'jblia? Co to jest?

Starzec spojrział na młodego kuriera z politowaniem, po czym przycisnął do piersi egzemplarz, który wzbudził jego zainteresowanie. Pogłaskał twardą oprawę ze łzami w oczach.

– Chłopcy, przy wejściu wręczą wam pieniądze – powiedział ze wzrokiem zanurzonym w pustkę. – Żegnam.

Tak też się stało. Przed wyjściem jeden z przyszczytanych strażników złapał Kahirila za rękę i spojrział mu głęboko w oczy.

– Nie powiecie nikomu, że tu jesteśmy? – spytał zalekniony.

Drugi uderzył go otwartą dłonią w potylicę i warknął:

– Zamknij się!

Długowłosey doręczyciel zmroził wzrokiem agresywnego nastolatka, który w efekcie oblał się rumieńcem. Następnie poklepał zatrwożonego strażnika po ramieniu.

– Spokojnie, jesteśmy profesjonalistami. Może kiedyś też nim zostaniesz.

Godzinę później bracia siedzieli już w krzakach na wzniesieniu, z którego widać było okazałą willę Penelopy, adresatki listów znerwicowanego Rayhunda. Kurierzy mieli już wszystko ustawione dawno temu. Jeżeli dwaj wartownicy, idący na nocną zmianę do posiadłości, zauważyli na konkretnej gałęzi pewnego drzewa poszarpane, zielone płótno, mieli zboczyć ze ścieżki i dotrzeć właśnie na owo wzniesienie. Tam za 1000 syndykalnych kredytów od łebka wypożyczali mundury braciom, a ci wchodzili do środka. Patrolując korytarze zostawiali białą kopertę z Krukowa i odbierali różową, pachnącą lawendą. Następnie wymykali się na zewnątrz, oddawali mundury i wracali do Republiki, podczas gdy, bogatsi o miesięczną pensję, strażnicy wracali do pełnienia swej monotonnej służby. Teraz jednak spóźniali się, i to grubo ponad godzinę, pomimo danego znaku.

– Wywiesiłeś szmatę? – zapytał w końcu Mys'han.

Kahiril przytaknął i wrócił do przeczesywania wzrokiem terenu. Wtem podniósł się na jednym kolanie i wytężył słuch. Jął sięgać za plecy, ale młodszy brat klepnął go delikatnie w ramię i wskazał polanę rozciągającą się za nimi. Do wzniesienia niepewnie podchodziło dwóch wartowników, jednak bez mundurów. Gdy dotarli na miejsce spotkania, jeden z nich zaczął tłumaczyć:



– Wszyscy z poprzedniej zmiany zostali zwolnieni. Penelopa zatrudniła inną firmę. Nie możemy wam pomóc.

Mys'han spojrział na brata.

– Macie tu po 300 kredytów za fatygę – kontynuował, wręczając zmieszanym mężczyznom plik banknotów. – I lepiej idźcie już. W najgorszym wypadku za kilkanaście minut będzie tu się roić od policji.

Drugi ex-wartownik chwycił młodszego kuriera za ramię.

– Nie rozumiecie. Całą willę patrolują goryle w kevlarowych zbrojach. W łapach mają automaty. Penelopa chyba boi się, że... że ją zdejmą.

Kahiril przytaknął ponuro. Przetasowania w rządzącej kaście Syndykatu Wolnych Ludzi były szybkie i krwawe. Za demokratyczną, liberalną fasadą kryła się zgnilizna partyjnej nomenklatury. Jeżeli ktoś miał zbyt duże wpływy bądź wstępował na poletko któregoś z polityków obligatoryjnie związanego z organizacją przestępczą lub służbą wywiadowczą, umierał w niewyjaśnionych okolicznościach. W związku z zapotrzebowaniem, na rynek wstąpiła nowa klasa agencji ochrony. Duże firmy utrzymywały niewielkie armie złożone z byłych żołnierzy Syndykatu. Owi weterani byli świetnie wyszkoleni i uzbrojeni po zęby, a ich usługi były diabelnie drogie. W końcu klient płacił za ochronę swego zagrożonego życia. Odpowiedź na pytanie, dlaczego ta chora sytuacja trwa bez końca jest banalnie prosta. Z jednej strony tajne służby i mafia wciąż walczą o dominację w państwie, z drugiej firmy ochroniarskie zbudowały już taki kapitał, że same zaczęły odgrywać rolę w polityce. Doprowadziło to do zgniłego kompromisu i względnej równowagi sił. Penelopa najwyraźniej włączyła się w grę o wysoką stawkę, ale nie miała zamiaru zapłacić za nią najwyższej ceny.

Bracia leżeli w krzakach przez następne 20 minut, ze wzniesienia obserwując patrole. Wreszcie Kahiril szturchnął współnika w żebro.

– Poczekaj 3 minuty i spójrz na drzewko przy murze.

Istotnie, mur okalający całą posiadłość miał tylną furtkę, którą dostarczano zaopatrzenie, zasłoniętą przez drzewo. O jej istnieniu kurierzy wiedzieli, ale zdawali sobie sprawę również z tego, że jest to bardzo pilnie strzeżone wejście. Jednak po trzech minutach jedynym objawem zainteresowania ze strony ochrony wobec owej furtki był samotny strażnik, który przechodził obok niej bezwiednie podczas okrążania obwodu muru.

– Nie mamy pewności, że po drugiej stronie nikt nie stoi – ocenił krytycznie tę szansę Mys'han. – Poza tym wylądujemy w ogródku, na którym będzie nas widać jak na talerzu. Ten plan jest głupi i zakłada właściwie pewną śmierć.

– To co, idziemy?

Młodszy kurier przytaknął, po czym, poprawiwszy czapkę, puścił się pędem wraz z bratem do drzwi. Gdy dotarli pod mur, wślizgiem przemknęli za drzewo i zaczęli nasłuchiwać odgłosów ewentualnego pościgu. Nic takiego nie nastąpiło, więc obaj zakradli się do furtki, która następnie została pchnięta przez Kahirila.

Zgodnie z przewidywaniami jego współnika, za murem istotnie był strażnik. Stał z głową opartą o ścianę i widocznie przysypiał z karabinem wycelowanym w ziemię. Gdy spojrzał na wychylającą się podłużną twarz oblaną strumieniami kasztanowych włosów, wpadł w osłupienie. Tego błędu nie popełnił Kahiril, który rzucił się na wartownika, lewą ręką chwytając go za usta, a prawym ramieniem przyciskając jego tchawicę. Nim razem uderzyli o ziemię podkulił nogi tak, aby kolana blokowały ofierze możliwość obrony rękami. Mys'han zaklął pod nosem, po czym na palcach przestąpił próg, delikatnie zamknął drzwi i skoczył na trawnik, aby przytrzymać konwulsywnie kopiące nogi pechowego stróża. Kilka minut później było już po wszystkim. Bracia ułożyli nieprzytomnego biedaka tak, że wyglądał, jakby zasnął na siedząco a sine pasmo na szyi zakryli, podnosząc nieznacznie jego mundur. Gdyby ktoś oczywiście dokonał bardziej szczegółowej inspekcji, na pewno zrozumiałby, co tu zaszło, ale można było liczyć na to, że dobrzy koledzy dadzą mu pospać na warcie i zajmą się jego rewirem, a w najgorszym przypadku dawało to kurierom minutę czy dwie przewagi, zanim ktoś doda dwa do dwóch i zacznie wszczynać alarm.

– Mógłbyś chociaż spiąć włosy – powiedział szeptem Mys'han do brata. – Wyglądasz jak dzikus z lasu. Jeżeli mają nas tu odstrzelić, to chociaż niech nasze ciała wyglądają profesjonalnie.

Kahiril wyciągnął z kieszeni płaszcza gumkę i szybko związał swą roztrzepaną czuprynę w schludny kucyk. Przed nimi rozciągał się trawnik prowadzący do wejścia kuchennego, które było strzeżone przez dwóch wysokich mężczyzn, którzy oparci o futrynę palili papierosy i prowadzili cichą, rozmarzoną konwersację o najnowszych cudach motoryzacji. Obok nich był garaż z nisko osadzonym, pokrytym blachą dachem. Z niego natomiast można było dostać się do okna umieszczonego na piętrze.

– Marzenie ściętej głowy. Nie wdramy się tam, dopóki oni pilnują tych drzwi.

Mys'han zaczął rozglądać się i szperać w trawie. Kahiril pochylił się do przodu i sięgnął za plecy, ale poczuł szarpnięcie, więc odwrócił się zdenerwowany.

– Co znowu?

Młodszy brat ścisnął w ręku sporawy kamień. Długowłosy kurier spojrzał na niego z uniesionymi brwiami, jakby Mys'han powiedział „i właśnie tak dotrzemy na księżyc”, ale szybko uspokoił się, gdy podążył wzrokiem za palcem wskazującym współnika. W odległości

kilkunastu metrów od nich stała szklarnia z niesamowicie rzadkimi kwiatami, które były ulubionym hobby Penelopy.

Gdy strażnicy wciąż jeszcze próbowali połapać się kto lub co zniszczyło witrynę w cieplarni pani domu, Mys'han pomagał Kahirilowi bezgłośnie przeskoczyć przez framugę, aby dostać się do wyłożonego marmurem korytarza. Panowała w nim głęboka ciemność, na którą padało światło księżyca dostarczane przez szerokie okna, umieszczone wzdłuż całej ściany. Po lewej mur zdobiły obrazy nagich kobiet i mężczyzn w ekstatycznych tańcach i dziwnych pozach. Młodszy kurier rozejrzał się po pomieszczeniu, po czym podszedł do jednego z malowideł i przechylił głowę w lewo mając nadzieję, że pomoże mu to w studiowaniu dzieła.

– Mys'han, rusz się – warknął Kahiril, szarpiąc brata za ramię.

– Czy ona ma nogę nad...

– To tylko obrazy, głąbie. Dawaj, idziemy.

Pachnące lawendą listy zawsze odbierali z drugiego piętra. Leżały na stoliku, w gabinecie będącym niedaleko sypialni Penelopy. Bracia już wcześniej postanowili, że zakradną się tam i wyjaśnią całą sprawę z korespondencyjną kochanką Rayhunda. Gdy byli jednak na schodach prowadzących wyżej, usłyszeli wysoki, kobiecy krzyk. Nie bacząc na konsekwencje wpadli przez drzwi prowadzące właśnie do owego gabinetu. Prosto w środek szóstki siedzących na fotelach strażników. Najwyraźniej tutaj urządzali sobie przerwy. Wartownicy szybko podnieśli się z miejsc, ale pisk nie ustawał, więc Mys'han spróbował:

– Panowie! Penelopa jest w niebezpieczeństwie!

– Nie jest – odparł na to stojący obok niego dwumetrowy stróż z blizną na czole. – Ale wy i owszem.

Kurierzy szybko połapali się w sytuacji. Zamachowcy opłacili ochronę, żeby siedziała cicho, podczas gdy oni będą mogli w spokoju zarżnąć niewygodną panią polityk stojącą im na drodze. Kahiril sięgnął prawą ręką za plecy, po czym spojrzał na brata pytająco.

– Teraz możesz robić co chcesz – powiedział Mys'han, opierając się o ścianę.

Długowłosey doręczyciel uśmiechnął się paskudnie, a następnie skoczył na najbliższego adwersarza i wyrwawszy z umieszczonych na grzbiecie pochew dwie drewniane pałki, uderzył nimi z hukiem w jego czaszkę. Potem odbił się od niego, obrócił w locie i wyprowadził jedną z nich zajadły cios w szyję stojącego obok strażnika. Ten gruchnął w efekcie w regał z książkami i, powoli się po nim osuwając, próbował bezskutecznie złapać choć łyk powietrza. Mężczyzna z blizną chwycił Mys'hana za przegub, ale ten sprawnie się odwinął i poraził go dobytym z kieszeni paralizatorem.

– Łapy precz!

Krzyki w sypialni ustały, lecz bracia tego nie odnotowali. Kahiril doskoczył do dwóch następnych przeciwników i zaczął okładać ich pałkami tak szybko, iż wyglądało to, jakby jego ręce rozmazywały się w powietrzu. Jeden z wartowników cofnął się do drzwi za swoimi plecami i z kabury na pasku dobył pistolet. Szybko jednak padł na podłogę, ogłuszony precyzyjnie wymierzoną, gumową kulą, posłaną z armatki umieszczonej na nadgarstku Mys'hana. Z owego wejścia, przy którym leżał rażony pociskiem nieszczęśnik, wypadło dwóch następnych Stróży, ściskających w rękach karabiny maszynowe.

– Kahiril! Plecy! – krzyknął młodszy kurier, gorączkowo przeładowując broń.

Długowłosey wojownik odwrócił się od swych powalonych ofiar i cisnął pałkami, trafiając obu uzbrojonych strażników w głowy, po czym dopadł do nich i upewnił się, że pozostaną w tej pozycji przez najbliższy czas. Ze strony schodów, po których tu weszli, usłyszeli kroki, lecz wtém, przez szerokie drzwi prowadzące do sypialni, wpadła czerwona na twarzy Penelopa, w czarnym, satynowym szlafroku, z przerażeniem wypisanym na twarzy. Mys'han zatrzasnął drzwi prowadzące na niższe piętro, a następnie odbezpieczył lepki granat i rzucił nim w drewniany portal, skutecznie blokując próbujących się przez nie dostać ochroniarzy. Z sypialni wybiegł jeszcze jeden wartownik, wielki na dwa metry łysy olbrzym, który natarł na Kahirila z żądzą mordy wypisaną na twarzy. Dopadłszy do niego, chwycił go za szyję i podniósł do góry. Kahiril uderzył adwersarza z całej siły prawą dłonią uzbrojoną w pałkę, ciosem zdolnym rozłupywać czaszki. Zabrzmiał trzask i rozsypała się broń rozsypała się po dywanie. Z błyszczącej czaszki pociekła krew, ale olbrzym, wciąż trzymając kuriera, podszedł do okna i wybił je kopniakiem. Kahiril błyskawicznie położył drugi kij na barkach wielkoluda, chwycił jego drugi koniec i pociągnął do siebie. Ze złamanego nosa wartownika trysnęła krew. Mys'han dopadł do niego wślizgiem i kopnął olbrzyma w kolana, przewracając go na plecy. Kahiril, uwolniwszy się z chwytu, dobił przeciwnika dwoma uderzeniami łokci, po czym spojrzał na przerażoną Penelopę. Bracia wstali z podłogi, przenieśli zdeorientowaną kobietę do jej komnaty. Następnie zamknęli olbrzymie podwoje i rzucili w nie lepkim granatem, aby mieć pewność, że obiekt westchnień prezydenta Krukowa będzie, przynajmniej przez chwilę, bezpieczny. Dopiero potem odwrócili się i ujrzeli jej sypialnię. Na okazałym łożu z baldachimem leżały dwie nagie, przerażone dziewczyny. Kurierzy spojrzeli pytająco na Penelopę.

– Co to ma znaczyć? Kim jesteście?! – zapiała głosem, pełnym wymieszanego strachu i oburzenia.

– Jesteśmy kurierami, przez których pani cichy wielbiciel dostarczał listy – odpowiedział Kahiril, próbując złapać oddech. – Oto następny i, jak się domyślam, najpewniej ostatni.

Mówiąc to, wyciągnął rękę do Mys’hana w dramatycznym geście, który został zupełnie popsuty, bowiem młodszy kurier wciąż stał i patrzył z otwartymi ustami na powaby leżących przed nim nimf.

– Mys’han! List!

– A tak, tak, tak...

Penelopa z oburzeniem odebrała kopertę, po czym, zapaliwszy światło, zatopiła się w lekturze, zupełnie nie słysząc sprzeczki mającej miejsce tuż obok.

– Mógłbyś się zachowywać choć trochę bardziej profesjonalnie...

– Ja? Uuuu „na drewnie wbrew pozorom można polegać”. Uuuu patrzcie na mnie, jaki jestem silny. Ups! Złamałem sobie broń. Ciekawe, czym teraz będziesz walczył, idioto!

– Jak masz ochotę, to zaraz pokażę twoim zębom, co jeszcze mam w zanadrzu...

– Słowa, słowa, słowa – powiedziała Penelopa jakby do siebie, uciszając tym samym obu braci. – Nic tylko gadanina. Ciągłe zapewnienia i tak dalej. Mrzonki romantycznego chłopca. Ja potrzebuję ognia, w którym mogę się spalić – mówiąc to, uderzyła się w pokaźny dekolt. – A on daje mi wciąż nowe... słowa.

– Rayhund dużo ryzykował, żeby dostarczyć te wszystkie słowa, którymi tak gardzisz, pani – powiedział Mys’han, mierząc ją wzrokiem.

– Trudno. Oznacza to zatem, że jest głupi.

– W takim razie przekażemy, że nic dla niego nie masz...

– Nie! Taki napad nie ujdzie wam płazem! Straże!

Odpowiedziały jej tylko przekleństwa po drugiej stronie drzwi, gdy kilkunastu wartowników próbowało poradzić sobie ze sforsowaniem zaklejonych wrót. Kahiril powoli podszedł do toaletki i podniósł z niej cienki nożyk do otwierania listów.

– Mys’han, dawaj chloroform. Sprawiedliwości musi stać się zadość.

Gdy Penelopa obudziła się, leżała wyciągnięta na podłodze w swej sypialni. Z góry widziała zatroskane twarze jej ochroniarzy i dwóch kochanek, które zdążyły już przywdziać swe urocze, pikowane szlafroki. Kobieta podniosła się powoli i wytarła mokre czoło dłonią, po czym zapytała przytłumionym głosem:

– Co tu się stało?

Witgin, olbrzym z bandażem na głowie, odchrząknął.

– Powinnaś się przejrzeć w lustrze, pani – rzekł grobowym głosem.

Penelopa posłusznie więc stanęła przed 1,5 metrowym zwierciadłem, umieszczonym obok toaletki. Wzrokiem przeszła od stóp z paznokciami pomalowanymi na czerwono, przez kształtne łydki i uda, skryte pod peniuarem. Szerokie biodra i duże piersi pod dekoltem również pyszniły się swym bogactwem jak zawsze. Mocna szyja i delikatny podbródek były również na swoich miejscach. Kościste policzki, głębokie czarne oczy i atramentowe włosy pozostały bez zmian. Tylko czoło, broczące krwią, pokrywała siatka ciętych ran układających się w słowo DZIWKĄ.

----

Kruków niewiele się zmienił podczas absencji kurierów. Szarość zaczęła dominować trochę mocniej, ze względu na nadchodzącą porę roku. W tej samej uliczce co zawsze, spotkali się ze swym zleceniodawcą, by przekazać mu smutne wieści. Umorusani i strudzeni bracia stanęli przed Rayhudem, który tradycyjnie już na tę okazję, ubrał palto ekshibicjonisty.

– Panie prezydencie, jest nam niezmiernie przykro, ale... – zaczął Kahiril.

Ich rozmówca uniósł dłoń.

– Wiem już wszystko. Jesteście tylko zwykłymi ulicznikami. Nie mogłem na was polegać – rzekłszy to, wyciągnął z odmetów płaszcz wczorajszą, pomietaną gazetę.

Na pierwszej stronie widniało zdjęcie Rayhunda z olbrzymim nagłówkiem: „Prezydent Krukowa prowadził tajną korespondencję z wywiadem Syndykatu”. Bracia usłyszeli kroki. Z ciemnych zaułków wychynęło kilkunastu cyngli, uzbrojonych w rewolwery. Był to ten gatunek ludzi, który najpierw strzela, a później, jeżeli w ogóle, pyta. Mys’han spojrzał pytająco na prezydenta, lecz ten w odpowiedzi tylko uniósł brew i powoli dobył pistoletu z kieszeni.

– Rozumiem, że ktoś wam zapłacił, aby mnie zniszczyć. To było ryzyko wliczone w koszt tej rozgrywki. Już dawno pogodziłem się z tym, że nie wyjdę z tego cało. Ale moja Penelopka... – tu głos złamał mu się wyraźnie – jest teraz sądzona przez trybunał stanu w Syndykacie. Ja uniknę wyroku jeszcze przez miesiąc czy dwa, ale wkrótce spotka mnie ten sam los. Rozumiem. Zostaliście opłaceni. Ale wykorzystując ją – warknął jak dzikie zwierzę, odciągając cyngiel – podpisaliście na siebie wyrok śmierci!

– Panie prezydencie, my nie...

– Milczeć! Cisza! – desperacki falset odbił się od murów kamienic. – Żegnam panów.

Kahiril spojrzał na pistolet, który drżał w rękach Rayhunda, jakby tańczył lambadę, po czym westchnął i uderzył się w pierś, na wysokości serca. Przez chwilę trwała kanonada na

oślepi, ale wynajęte przez prezydenta Krukowa osiłki na próżno próbowały znaleźć w gęstym dymie kurierów. Ślad po nich zaginął.

## Grube czarne dziwki

Rzecz fascynująca i frapująca zarazem – nie widziałem w Olsztynie i jego okolicach dziwek innych niż te stojące przy wylocie z miasta, grube i czarnoskóre. Obecność otluszczonych prostytutek jest smutną częścią mojej codziennej rzeczywistości, choć chciałbym z całego serca, aby tak zaczynała się co najwyżej wypełniona realizmem magicznym powieść jednego z kolumbijskich pisarzy, umiejscawiającego fabułę książki i książkowe dziwki na prowincji Europy Środkowo-Wschodniej.

Liście uporczywie zaścielają jesienne ulice miasta, gnijąc i powodując wypadki. Nie dzieje się nic wyjątkowego z powieści, choć przecież długa, latynoamerykańska fraza doskonale nadawałaby się do opowiadania o dziwkach grubych i czarnych, tylko one wykraczają bowiem poza społeczną i architektoniczną burość Olsztyna, dokonując tego, czego zrobić nie potrafią spelunkowate stacje czy wymuskane galerie handlowe, ceglane kościoły albo parkingi opanowane przez bezdomnych wędrowników.

Jestem barmanem. To zwyczajny olsztyński pub, jedno z tych miejsc, gdzie pooglądać mecze drugiej polskiej ligi przychodzą konfeksjonerzy z Michelina (tak, właśnie tak, *zmiszelina*, nie zaś *zmiszlę*), gdzie siedzieć mogą do samego rana, godziny piątej, może nawet nieco dłużej. Posiadając mieszkanie na suburbiach, w jednym z łapczywie przylegających do stolicy województwa miasteczek, czekać muszę do szóstej rano na pierwsze busiki.

Grube, czarne dziwki stoją przy wylocie na Dywity, przy tych samych zjazdach do lasu, które są jednocześnie bramą do doznań wybitnie dresiarских – skrętów podawanych w kojącym odcieciu pluszowego wnętrza białej hondy, wieczorów spędzanych wśród amatorów dopalaczy pokasłujących w objęciach dusznej atmosfery golfów trójek opuszczających garaże na Kołobrzesckiej. Oni dziwek nie widzą, a przecież dla czterdziestoletnich bywalców pubu czarna kurwa byłaby legendą, właściwie nawet nią jest, tą miejską i szeptaną po kątach, wyłazłą na wierzch wtedy, gdy wyłania się pod wpływem kosztującego pięć złotych Specjalu typowa dla olsztyńskiego proletariatu jowialność, typowa dlań rubasność. I z ust do ust krąży opowieść, ciągnąca za sobą serię obleśnych uśmieszków, w której to opowieści występuje jedyna czarna prostytutka w historii miasta, przyciągająca swoją odmiennością tłumy dziwkarzy *zajeżdżona* w niesprecyzowanym okresie *przed laty* w zaciszu jednego z domów publicznych na Zielonej Górze.



Moje dziwki robią się od czasu do czasu jakby bardziej wyblakłe, co zbiega się z okresami, gdy życie towarzyskie jakoś mi się naprostowuje, gdy robię podmiankę rozbuchanego social life'u na stały związek. Wcześniej czarne i grube, z dnia na dzień zmieniają się w Polki, Białorusinki i Ukrainki, kobiety wychudłe, *nasze*, jednak o urodach niespecjalnie słowiańskich, kuszące wątpliwym wdziękiem ciemnobrązowych rajstop, farbowanych w smoliste odcienie włosów, pastelowym seledynem obcisłych sukienek.

To również nie zostaje odnotowane przez nikogo, być może wszystkie one stanowią prywatnego sukkuba czającego się za oknem okejki. Takie właśnie te dziwki są. Takie właśnie jest to miasto.

## Mędrzec

Confucius nie lubił przechadzać się korytarzami swojego pałacu, w myślach sprowadzając go do problematycznego w pielęgnacji kwiatu. Kwiatu, którego genezę żona zna doskonale. Wie bowiem, że doniczkę z ledwo wyrosłą znad ziemi roślinką jej mąż dostał od kochanki. Nie dziwił się więc Confucius, że podlewanie i wystawianie podarunku na słońce pozostawiła małżonka w gestii obdarowanego. Robi, co może, a może wiele i niewiele zarazem, jak każdy mężczyzna przeżywający kryzys wieku średniego. I takim właśnie podwiędłym, bo powierzchownie obdbawanym kwiatem, znajdował Confucius swoje udzielne królestwo.

Ciężko nie rozwijać dalej tej metafory, nie ciągnąć wywodu w ramach uświeżania toposu ogrodniczego, nawożenia go lepszego sortu gnojem. Humanistycznym oczywiście, gdyż nie będzie to uwikłany w biblijnych parabolach ogrodnik-bóg, omnipotentny brodaty dziadek w czerwonych gumiaczkach, lecz ogrodnik-człowiek, przechodzący właśnie wspomniany już kryzys. I jak bogaty biznesmen kupuje coraz to nowsze samochody, inteligent rozszerza do niebotycznych rozmiarów domową biblioteczkę oraz kolekcję reprodukcji secesyjnych obrazów, tak Confucius skupia się na skierowaniu wszystkich światła na roślinkę w taki sposób, aby wydawała się witalną i obfitą w mięszyste owoce.

Nieistotny jest fakt, że obraz taki utrzymuje tylko i wyłącznie w rojeniach swoich oraz najbliższych mu dygnitarzy. Z rzekomego, podretuszowanego piękna uczynił ideologię, i otoczył to piękno niemal religijną czcią, przywdziewając jednocześnie szaty największego dobrodziejstwa roślinki. Mimo iż wszyscy widzą doskonale, jak wygląda rzeczywistość, niby czerwony kabriolet, majstersztyk kompensacji problemów wieku średniego, toczy się po drogach Milwaukee pojazd pstrokaty i umajony, nadający z megafonu komunikat o wspaniałości Pałacu oraz zarządzającego nim Mędrca.

Confucius ochrzczony został tym właśnie imieniem nie bez powodu – wszyscy bez wyjątku uważali go za debila. I podobnymi sobie debilami się otaczał. Jeden z przekorniejszych członków świty, nadawszy ów pseudonim, nie stracił jeszcze łaski w oczach całego dworu. Ta przestała być jego udziałem dopiero wtedy, gdy to za sprawą Demosthenesa właśnie przez kilka dni dumny władcyka nosił miano Dostoyevsky'ego.

Wszystko jednak ma swój czas i przychodzi kres na kres. Confucius-Dostoyevski, znajdując w tempie błyskawicznym odpowiednio nieuważnego i szybkiego rzeźbiarza, wystawił na placu przed swym pałacem pomnik rosyjskiego pisarza, po którego monumentalnym dziele nosić mógłby imię, o czym od kilku dni zapewniała go cała niemal

służba. W pracowity wieczór przed oficjalnym odsłonięciem pomnika, przygotowując się do odczytania laudacji, spojrział na wydrukowany biogram Fyodora Mikhailovicha i zmroziła go jedna tylko myśl: *gdybym nie był Idiotą, zrozumiałbym wcześniej*. Po kilku telefonach oraz ostrych reprimendach, doprowadzających do płaczu najkruchsze kucharki i ochmistrzynie, odsłonięcie pomnika odwołano. Zaplanowanej z tej okazji uczyty już nie. Choć nie rozumiał wielu rzeczy, szczególnie tych związanych z literaturą, jedno wiedział na pewno – lud lubi uczyty, umkną uwadze niuanse.

Od tamtej pory nie wysłuchiwał już pomysłów inspirowanych przez doradców przewyższających go intelektem, w każdym z takich ludzi widząc potencjalne zagrożenie. Grono zauszników znacząco się przez to przerzedziło. Okazało się, że Confucius nie może już ufać nikomu.

Tkwił w oknie niczym marmurowy pomnik, z marsową miną popatrując na błonia swoich włości. Śledził z wysokości swojego majestatu ziem okrąg, obserwował mieniące się od żagli wody jeziora Michigan, w piersi czując nawałę trosk na widok oklapniętej roślinki, której podźwignąć ku słońcu nie mogło nawet kierowanie nań wszystkich światła. Kryzys wieku średniego nie bierze się w końcu z niczego.

Przeszła wiosna, przeszło lato, jesienne przyjęcie nowych szczęśliwców do grona pełnoprawnych poddanych zbliżało się wielkimi susami. Pozbawiwszy się oparcia ze strony doradców, nie potrafił przemóc intelektualnego stuporu.

I gdy czas przeciekał mu tak przez palce, ujrzał zza szyb pałacu młodzież zebraną wokół rówieśnika, zaś uchylone okno pozwoliło mu dosłyszeć niesioną przez wiatr deklamację:

*„W tej ogromnej sieni*

*Brukowanej nie znajdziesz pan tyle kamieni,*

*Ile tu pękło beczek wina w dobrych czasach;*

*Szlachta ciągnęła kufy z piwnicy na pasach...”*

Wiedział już, po prostu wiedział! Więcej zabaw dla tej młodzieży spragnionej pękających beczek wina, więcej zabaw, więcej alkoholu i tańców. I koniecznie należy wymyślić im hymn! Wysunął z kieszeni długopis i natychmiast zapisał najlepszy pomysł twórczy, jaki przyszedł mu do głowy: *zlecić służbie, żeby to zrobiła*.

Po kilku tygodniach przygotowań syci i opici jak baki dostojnicy dworscy łaskawie wysłuchali hymnu, wyśpiewanego przez chórek pochlebców, gotowych odłożyć na bok godność oraz wartości estetyczne.

*Dniu szczęścia i radości, humanistycznych cnót,*

*zezwoł nam w obfitości darów swych się pławić,*

*i napeln' znów cnotami obywatelski ród,  
emisariuszy godnych chwały twej i sławy.  
Królestwo łask władczynych rozwarte na oścież,  
albowiem ich dostępność świadectwem jest pięknym  
niezmierzonej dobroci wobec nas, swych gości,  
cudownym podkreśleniem pielęgniarskiej ręki.  
Hej! Ho! wraz zakrzyknijmy, gdy ten dzień nadejdzie,  
upragnionego wejścia w wymarzoną pętlę!*

Jak nietrudno się domyślić, klęska i żenada to najdelikatniejsze określenia, jakimi można określić neronowy spektakl sygnowany przez Confuciusa i reżyserowany przez jego pacholków. Pogłoski o pośmiewisku nie dotarły jednak do uszu udzielnego pana, zagłuszane przez głośne pochlebstwa i jeszcze głośniejsze samozadowolenie. Zmianie uległo jedynie podejście Mędrca do pałacowych korytarzy. Od tej pory lubił przechadzać się nimi, rozkoszować widokiem jednego z największych pałaców stanu Wisconsin. Choć nie przyznawał się do tego, chciał się swoją roślinką nacieszyć. Szczury przeczuwają bowiem, że okręt wkrótce zatonie, a Confucius ze szczura miał naprawdę wiele.



**Sabina Kowalczyk**

## **Gdzie?**

Gdzie jesteś

Gwiazdy milczą  
i milczy smutna noc  
i trawy jakby cichną  
i cichnie rzeki prąd

Sów szepty skryte w gardłach  
mrok usta swe zaciska  
i wystraszone liście  
kulą się w chłodzie drzew

Patrzę w stronę księżyca – GDZIE JESTEŚ?!

Wyję dziko  
złymi wilczymi ślepiami  
czeszę drapieźnie niebo

lecz  
gwiazdy ciągle milczą  
i milczy smutna noc,  
trawy, prąd rzeki, sowy,  
księżyc, liście i mrok

a wokół  
coraz puściej  
a wokół  
coraz ciemniej

Gdzie jesteś

to pytanie  
zamiera cicho – we mnie.

## Nie mogę patrzeć

Mucho

wgapiasz się teraz we mnie  
tymi wielkimi muszymi ślepiami  
w każdym ich załamaniu  
odbija się jak w lustrach cyrku  
zniekształcona twarz

Nie poznaję siebie.

Mucho, musieńko

może i pociągnęłabym struny  
pajęczyn, ale mi się nie chce  
i, mówiąc szczerze,  
irytowałaś mnie tym muszym paplaniem.

A teraz tylko

POMÓŻ

i

POMÓŻ

– nie mogę słuchać

nie patrz tak

nie proś o litość

to nic nie da

czas się pogodzić

Łaziłaś mi po talerzu

łądowałaś na nosie

naznaczyłaś monitor laptopa

drogi był

drogi był

droższy niż twoje...

Może bym ci pomogła

ale

to nie te czasy

nie ta ja

nie-ta-ja

prawda, jak ładnie brzmi?

Nietaja, nietaja, tra la la...

Czemu parskam tym durnym śmiechem?

O czym to ja...

No, nie patrz tak!

Czujesz drganie nici

tak

już idzie

przedstawienie musi trwać

teraz też ledwo oddycham

I po co tak bzyczysz?

Tyle hałasu o nic

nie lepiej godnie?

Nie zwracaj mi...

Wybacz

odwrócę się

nie mogę patrzeć



## **Mój ból-mój gniew-moja modlitwa**

Mój ból  
Mój gniew  
Moja modlitwa

Cała płonę  
Spalam się  
Dogasam  
Leniwym dymem po ulicach  
Snuję się  
Cienie liczę  
Skrzydła palt  
Rozwiewają szarość powłoki  
Wciąż mnie mniej

Mój ból  
Mój gniew  
Moja modlitwa

Cała moknę  
Topię się  
Ledwo oddycham  
Wiotką parą w przestrzeni  
Kołyszę się  
Krople liczę  
Śliskość szyb  
Nie daje oparcia – cicho spływam  
Wciąż mnie mniej

Mój ból  
Mój gniew  
Moja modlitwa

Cala maleję  
Kruszę się  
Ugniatam  
Ze stałości w sypkość erozją pęknięć  
Przemieniam się  
Skały liczę  
Stukot obcasów  
Wgniata w szarość chodników  
Wciąż mnie mniej

Mój ból  
Mój gniew  
Moja modlitwa

Cała rosnę  
Unoszę się  
Przemieszczam  
Mocą tornad, muśnięciem ciepłych tchnień  
Upajam się  
Dachy liczę  
Paszcze kominów  
Pochłaniają tę lekkość  
Wciąż mnie mniej

Mój ból  
Mój gniew  
Mój płacz  
Mój śmiech  
Mój głos  
Mój sen

Moja modlitwa

## Poczekajmy do zmroku...

Poczekajmy do zmroku

Do zmroku

A gdy błysnie stal pierwszej z gwiazd  
Gdy jej blask zadrga w zmęczonym oku  
Wtedy – co? Wtedy nadejdzie czas  
Ciszy czas

Okna okryj jedwabiem rżęs  
I zatrzaśnij wrota swych dłoni  
Skryj w głąb siebie bukiety woni  
Smaków czar, dźwięki zwycięstw, płacz klęsk.

Zapadajmy w tę ciszę

Tę ciszę

A gdy zadrży samotność w nas  
Gdy da siebie wreszcie usłyszeć  
Wtedy – co? Wtedy nadejdzie czas  
Prawdy czas

Ty drżysz? Ja też bardzo się boję...

Bo, wiesz, jeśli nie światła czystych sal  
Lecz tam we mnie ciemne pokoje  
Lecz gdzieś w kącie nie bliskość a dal?  
Proszę  
Opuśćmy już tę ciszę  
Ucieknijmy, gdzie tylko się da  
Chyba wcale nie chcę usłyszeć  
Tego, co...

Co w nas siedzi?

Właśnie tak.  
Nie czekajmy do zmroku

Do zmroku

Ciszy nie zniesie żadne z nas.  
W takiej ciszy i w takim mroku  
Wytrwa tylko  
Bóg, szatan i stal gwiazd.

## Wołanie do Doliny

Dolino, o której marzę odkąd pamiętam  
Skroplona wiosenną rosą  
Zamglona gorzkim listopadem  
Owiana tajemnicą zimy  
Palona blaskiem komety

Wiesz? Mam w sobie trochę z Paszczaka  
Czerpię coś z lęków Filifionki  
Bliski mi jest Włóczykij i Muminek

Z chęcią spróbowałabym naleśników Mamy  
Udała się w nieznane z Hatifnatami  
Przytuliłabym sierotę Tofta i wiecznie zmarzniętą Bukę  
Oswoiłabym latarnię samotnika  
Widzisz?

Mogłabyś mnie przyjąć  
Odnalazłabym się w tobie

Teraz wystawiasz mi tablice  
WSTĘP WZBRONIONY  
(To już nie te lata)  
Ale wierzę, że Włóczykij wyrwie kiedyś je wszystkie  
I zaproszą mnie do swojego świata

Znów stanę się niedojrzałą formą samej siebie  
Będę oglądać wszystko oczami  
Które wszystkiemu się dziwią  
I kryją w sobie cudowną niewinność

Będę się bawić w chowanego  
W twoich bezpiecznych granicach  
Z dala od Gór Samotnych

\*\*\*

żyję przedświtem  
tym dziwnym napiętym  
między ponocą i jeszcze nie dniem  
wokół taka cisza  
Sza! Cisza  
a krwawe słońce już-tuż  
rozdziera niebo

krople rosy przygniatają liście  
mgła dusi powietrze  
i tak błogo  
tak rozkosznie

ciszę przerywają  
wrzaski rozbudzonego ptaka

przemoc  
zaczyna się już  
przed świtem

\*\*\*

Spośród skrzywień nieheblowanych desek

Z napiętej cięciwy pajęczyny

Z cząsteczek kurzu drgających

Z tętnic światła wstającego słońca

Z rdzawego blaszanego wiadra

Spogląda na mnie

Kusi

Uwodzi

A ja głupia

szukałam piękna tylko na obrazach mistrzów.

**Niczego nie oddałem**

21 maja, czwarta rano, Olsztyn. Olsztyn, chyba Olsztyn, nieważne zresztą, nigdy tu nie byłem, nie mam pojęcia co to za miasto, jakie to miasto. Data i godzina są nieważne, choć konkretne, konkretne jest również, choć zupełnie nieistotne – moje życie. Różne rzeczy do tej pory robiłem, ale niczego nie robiłem dobrze. Wiedziałem, że mogę być najlepszy w czymkolwiek zechcę i nie zostałem najlepszy w niczym – dziesięć lat temu straciłem pierwszą szansę i każdego kolejnego dnia traciłem następną. Dlatego dziś jest moja rocznica – nie osiągając niczego – osiągałem coś, dzięki czemu stałem się w swoich oczach całkowicie pospolity. Pospolity tylko na zewnątrz, normalny tylko w zachowaniu – dziesięć lat niedołęstwa nie przekreśla oczywiście przekonania o własnej wyższości. Ja dalej jestem lepszy od wszystkich, tylko, no, sporo okazji zmarnowałem, żeby to pokazać, ale ostatecznie nie to jest ważne. Ważna jest moja opinia o mnie samym, ważne jest to, co ja myślę o swoim odbiciu w lustrze, a nie to, co przedstawia samo odbicie. Więc wstaję z krzesła i zaczynam robić kawę. Czajnik rzezi, a ja sypię dwie czubate rozpuszczalnej i dwie nieczubate cukru. Potem zalewam żenującą ilością wody i rozrzucam złudzenie, że piję dobre espresso z kawiarni. To teraz, bo innym razem boję się piekła i nalewam sobie cały kubek mleka – wypijam ze smakiem i nienawiścią do samego siebie. W międzyczasie oceniam ludzi, dlatego wartościowi są ci, którzy głośno mówią, że to ja jestem wartościowy. Cała reszta nie ma racji, albo, jeśli nic nie mówi, za głupia jest, żeby zrozumieć, dlaczego powinna głośnić moją wyższość. Z perspektywy kubka kawy, chleba, patrzę przez okno i tęsknię do nieistnienia. Spojrzałem w otchłań i ujrzałem tam zielony las, z którego wytrzeszczały się na mnie tabuny obcych ciotek. Do tego ciemnego lasu prowadziła kiedyś ścieżka, ale że dziesięć lat temu zgubiłem swój śpiewnik – nigdy już nie dojdę nawet do połowy tej drogi. Więc nakręcam słowika na piątą, żeby mi przypomniał o skoczeniu z okna punktualnie – metamorfozy dwudziestopierwszowiecznej duszy zwykły zaczynać się po godzinie wilka, ale przed odpowiedzią na zagadkę, dlaczego M. Liza nigdy nie szczyrzyła zębów. Nie było kiedyś szczoteczek, więc pewnie przeżarte próchnicą pieńki chowała szczelnie za wargami. Co ja tam zresztą wiem – najlepszy jestem tylko w odnajdywaniu początków cywilizacji człowieka, ale kiedy wybuchła kolejna wojna światowa to już muszę sprawdzać. Nie zmienia to faktu, że to nie jest moralne, bo – jakże to! – nie świecić pieńkami, kiedy się powinno. Szczerzenie się jest ściśle powiązane z moją beznadziejnie niepoprawną etyką – ja studiuję uśmiechy w

perspektywie moralnej! – wykrzyczałem podczas obrony pracy o aerodynamice spożywczych aspektów wartości cyklistówek. Hipokryzją gardziłem zawsze, gromiąc więc codziennie absurdalność współczesnych systemów społecznych – przewartościowuję się sam i pisząc dzieło do klozetu, dalej uważam się za piewę odrodzenia rzetelności. To nie wynika z ilości akapitów – to wynika z głębokości czcionki, w której możesz zanurzyć swoje dłonie. A tak się składa, że bez profesjonalnego harona nie kupisz już nawet orzeszków ziemnych po drugiej stronie ulicy. Więc wchodzę na krzesło i z perspektywy łowiecko-inteligenckiej spoglądam na wschód, do którego moje okno odwrócone jest plecami. To TAM zacznie się moja nowa rzeczywistość.

Bo tutaj to tylko uciekłem od obowiązków, które mnie nie dotyczą, bo przecież przekraczam horyzonty wszystkich wokół i mózgi ich chowam w swój mózg tak, że jeszcze zostaje mnóstwo wolnego miejsca na literaturę. Ale to nie tak miało wyglądać – zanurzam ręce między wierszami i wyławiam fakt, że mieszkam na jednym metrze kwadratowym w piwnicy, pisząc artykuły do brukowców o zbliżającej się wojnie, albo

mieszkam u przyjaciela już miesiąc, choć miałem wyprowadzić się po tygodniu, ale wytwarzam w nim codziennie wyrzuty sumienia, które mnie nie dręczą moralnie, bo nie jestem hipokrytą i wszystkie pieniądze od rodziców przegrywam w karty, to jest piękne, bo poetyckie, bo ja – syn Tumora – podobnie jak on tworzę poprzez upiększanie rzeczywistości. I czasem powiem kilka ładnych – według mnie, czyli według wszystkich – zdań podczas rzucania karty i tak istnieję w świecie sztuki, albo

nie mieszkam w ogóle, ponieważ pracuję szczególnie w dzień i w noc, jako że nadczłowiekiem jestem nie tylko psychicznie, ale i fizycznie – organizm mój nie potrzebuje snu i w wyniku jego braku jestem doskonale zamożny i perfekcyjnie zmożony. Stan między wieloma jawami, gdy o czwartej pięćdziesiąt pięć opowiadasz przypowieści możliwego życia, cholera już późno.

Dopijam ostygłe pół łyka wyśmienitego granulatu rozpuszczalnego i tak sobie abstrahuję na zewnątrz okna od niechcenia, że jakby mnie kto oglądał, to nawet powinien być pod wrażeniem, jak ja się potrafię zawsze zabić z gracją.





\*\*\*

Daj babie lato. Chłopcu daj rękę dziewczyny. Pociągnie ją za sobą, nawet jeśli Bóg to lalkarz.

Prawie niewidoczne te nitki, a ciągle pociąga ją. Nad staw. Nadstaw drugi policzek.

– Pośpieszmy się! Zaraz się skończy – zawołał energicznie Klaus, ciągnąc Adrię za rękę.

– Puszczaj! Co niby ma się skończyć? Mówiłeś, że koniec nas nie dotyczy – stwierdziła Adria, rozkładając się na rozgrzanym piasku. – Znów mi mydlisz oczy, a sam dobrze wiesz, jak bardzo potem pieką. Jeszcze trzeć się chce! Nie wstanę, dopóki nie powiesz, gdzie tak cię gna!

– Cichutko – wyszeptał, przykładając wskazujący palec do jej ust. – Daj się ponieść.

Adria już odpuściła sobie ciągnięcie go za język, za włosy i za koszulkę. Klaus przewiesił ją przez ramię i pajęczą drogą ruszył w stronę wzgórza. Z każdym susem, coraz wyraźniej odczuwał, że na ramieniu ubywa mu wybranki. Mogło się wydawać, że w trakcie biegu zrzucała kilogramy. Chłopiec w pewnym momencie odniósł wrażenie, jakby zmienił imię na Grześ, a Adria przemieniła się w worek z piaskiem. Nagle, gdy sympatia całkowicie przestała obciążać męskie ramię, Klaus zamienił się w słup soli. Po chwili wrócił do dawnej formy i zrzucił na ziemię to, co przez większą część drogi uważał za swoją ukochaną. Pajęczy kokon o wymiarach Adrii był pusty.

– Gdzie ona jest – załkał przeciągle, głaszcząc kontur jej ciała. – Jak mogłem tego nie zauważyć. Musiała gdzieś się wyślizgnąć. Gdzieś niedaleko. Musi być blisko. Pewnie jest nieprzytomna. Tylko, że... przecież nic nie mogło jej zawinąć w tak krótkim czasie. Nic oprócz...

– A kuku. Tak zimno było, a wszędzie tyle pajęczyn, więc zawinęłam się. Złapałeś mnie, ale nie tak łatwo utrzymać kobietę.

– Ja ci dam utrzymać kobietę! – wykrzyknął Klaus, ruszając w pościg za rozbawioną Adrią.

Para oddalała się od wody, od wzgórza. Ile było tchu, tyle było par oczu obserwujących bieg. Przez las. Przez wdech i wydech. Przez pohukiwanie sów. Zaszło słońce z biegiem czasu. Właśnie na to zajście Klaus już od dawna ostrzył pazury. Niestety, przepadło. Coraz dalej są od wzgórza. Już się skończyło. Zaszło i myśl się pojawia inna, wypierająca. Zwalniają. Tu są chłodne cegły.

– Wiesz, że się teraz opieramy? – zapytała Adria, rozciągając Klausowi kołnierzyk.

– Pokusie? – zapytał rozochocony Klaus.

– Nie, o kościół. Wejdziemy?

Adria podała dłoń Klausowi. W milczeniu wchodzili po schodach, odliczając stopnie. Jedenasty, dwunasty, trzynasty. Na drzwiach przybita była kartka głosząca: „Dziś projekcja filmu *Stworzenie Adama*”.

– To Adam miał jakieś zwierzę? – zapytał idiotycznie Klaus.

– No pewnie. Miał kota.

– Proszę o ciszę – odezwała się łysa głowa z bocznego wejścia. – Zaraz się skończy, a ostatnie sceny są najpiękniejsze. Zapraszam do środka. Zapraszam. Proszę się nie krępować.

Mały człowiek o kanciastej, jakby struganej twarzy poprowadził młodych do pomieszczenia przypominającego szkolną stołówkę. Film oglądała zaledwie garstka ludzi oraz udomowione zwierzęta. Najciszej jak mogli usadowili się w ostatnim rzędzie. Bóg właśnie przekazywał iskrę życia do palca Adama, tak jak wyobrażał to sobie Michał Anioł.

– Wy faceci zawsze mówicie, że to koniec, że zaraz się skończy. Koniec. Panika. Chaos. A tak naprawdę z tego chaosu to wszystko... To wszystko się zaczyna.

– Tylko co? – odburknął Klaus.

– Życie – wyszeptała Adria, kładąc jego dłoń na swoim brzuchu.

## Komoda

Słońce wykuło się ze skorupy nieba rozlewając żółtko po ściankach miejskich budynków. Wlewało się przez nieszczelne ramy okien, a także pauzy między roletami i firankami. Bezskutecznie ukrywałem się przed nim, chowając przekrwione białka pod kurtyną dnia wczorajszego. Przedstawienie czas zacząć, a powieki zatrzymały się w pół i widać jedynie nogi wystające z łóżka skonstruowanego w trosce o poranne samopoczucie konsumentów. Moje poczucie własnej wartości na pewno nie jest samo, bo ciągle towarzyszy mu nieuzasadniony lęk, a bardziej niż ranne jest przestrzelone na wylot. To żadna wydmuszka! Ciągle przelewa się we mnie inny, nowy obraz, lecz nie zastyga. Zagrać miejsca nie ma zamiaru, bo rozmiar szczeliny przyprawia o zawrót głowy, a ja już dawno obiecałem zaprzestać jej zawracania.

Kurtyna poszła w górę. Kalendarz wciąż wskazywał zeszły tydzień, lecz zamiast przewracać kartki przewracam oczami, bo żaden dzień nie jest dla mnie na wyciągnięcie ręki. W zasięgu dłoni jest za to komoda. Matka twierdzi, że nie powinienem się opierać o ten secesyjny zabytek, ale (kurza twarz!) dziś nie mogę się oprzeć. Komoda podnosi mnie do pionu. Teraz mogę spokojnie pozwolić nogom na doprowadzenie mnie do „niepublicznej” toalety. Na wysokości kuchni wykonuję przewrót przez bark, by nie wywołać niechcianej paniki pośród domowników. Przewrót kopernikański, przewrót majowy i mój przewrót w stronę łazienki spokojnie mogę zaliczyć do zacnego grona „przewrotów w przód”. Jakie więc byłyby „przewroty w tył”? Przewrót thermidorański? Nie pamiętam przyczyn i skutków. Może lepiej nie będę się cofał. Już przecież stoję na wprost lustra.

Muszę się ogolić. Dawno nie widziałem swojej twarzy. Jakaś nie moja się teraz wydaje, jakby nie posiadała żadnych cech charakterystycznych. Trzeba je jakoś wydobyć. Żyletki mam. Pozostaje dylemat, pianka czy mydło. Pianka czy mydło? Mydło czy pianka?

– Czy to ważne? – zapytała obcym głosem postać zza lustra również pozbawiona jakichkolwiek cech charakterystycznych.

Nie zrobiło to na mnie zbyt wielkiego wrażenia. Takie pytanie równie dobrze mógłbym zadać sobie sam. Chociaż ten głos... Nie no. Po prostu wydawało mi się.

– Podaj mi rękę. Zabierz mnie stąd. – zaskrzeczała postać zza lustra.

Wyciągnęła dłoń w moją stronę. Przez tafle szkła zaczęły się przebijać kościste palce zakończone poźółkłymi pazurami. Już miałem zamiar podać jej rękę, lecz do łazienki wbiegła matka z tasakiem. Zamknąłem oczy. Po chwili spojrzałem do zlewu. Dłoń postaci zza lustra beztrząsco pływała wokół odpływu. W lustrze byłem ja. Trochę jak zbity pies, trochę jak

zmokła kura. Odetchnąłem. Albo mi się zdawało, bo matka zaczęła wymachiwać tasakiem krzycząc na cały budynek:

– Miałeś nie opierać się o komodę!

## Stalin

- Ej popatrz. Jaka fajna dupa była kiedyś ze Stalina, co nie?
- Rzeczywiście. Niczego sobie. Teraz moda na taki zarost. Ale jednak taki Stalin to Stalin. A wiesz, muszę ci się przyznać. Kiedyś śniło mi się, że Winston Churchill chciał mi się oświadczyć.
- Żartujesz. Ten grubasek? Niemożliwe.
- Serio, ale nie był wtedy taki gruby.
- I co? Zgodziłaś się? Bo ja to bym wołała jednak takiego Stalina.
- No chyba ja też, bo coś mu mówiłam, że wracam do Stanów, bo czeka mnie wielka kariera.
- Jakby mnie czekała wielka kariera, to tylko u boku prawdziwego mężczyzny.
- Prawdziwego, najprawdziwszego! Wiola słyszysz? Ktoś puka.
- Dobra, otworzę.

Nogi Wioli były idealnym odzwierciedleniem krętych schodów, które prowadziły z jej pokoju do holu. Nóżki zginały się w wielu miejscach, co sprawiało wrażenie, jakby pan Bóg obdarzył ją trochę większą ilością kolan, niż miał w zwyczaju.

- Dzień dobry. Czy chciałaby pani porozmawiać o Jezusie?
- Nie za bardzo. Wie pan, zbytnio nie mam czasu. Chociaaaaaż. Sama nie wiem. O! A o Józefie coś pan wie?
- Jak najbardziej. Mogę pani co nieco opowiedzieć.
- To niech pan wchodzi.

Rozdygotany Jehowy wszedł za Wiolą na górę. Nigdy w życiu nie widział takich schodów.

- Co to za jeden? – warknęła Malwina.
- Ten pan opowie nam o Józefie. Prawda?
- Absolutnie. Z wielką chęcią. – wydukał Jehowy.
- Józef był fajną dupą. Chce pan zobaczyć zdjęcia?
- Co? Dupą?! Jak pani śmie tak mówić?
- A co nie był?! Niech pan sam zobaczy.

Malwina podała niespodziewanemu gościowi zdjęcia 25-letniego Józefa Stalina.

– Cudowny. Chyba pan nie zaprzeczy.

– Ależ skąd. Wspaniały. Przepiękny. I ta iskra w oku. O tak. Bezsprzecznie. Niestety, ale ja nic o nim nie wiem. Ja myślałem, że chodzi pani o Józefa z Nazaretu?

– Skąd?!!! – wykrzyknęły zdziwione dziewczyny.

– Z Nazaretu?

– Ej, a może to jakiś jego pseudonim?

– Nie, nie, nie! To żaden pseudonim. Jak panie chcą to ja bym wziął to zdjęcie i jutro bym przyszedł i wam coś opowiedział o tym Józefie Stalinie.

– To niech pan przyjdzie o tej samej porze, tylko się ubierze jak człowiek.

– Oczywiście. Oczywiście.

Wiola już nie musiała odprowadzać pana do drzwi. Wybiegł ze zdjęciem przyciśniętym do serca i, jak każdy się domyśla, już nigdy nie pojawi się w skromnych progach Malwiny i Wioli.

– Witam państwa serdecznie w kolejnym programie z cyklu „Święci też garnki lepią”. W ostatnim odcinku gościliśmy świętą Faustynę, która na wizji ulepiła wspaniały garnek, idealny na poranną owsiankę. Na najlepszy „święty” garnek możecie państwo oddawać głos na naszej stronie fejsbukowej, tam również można wysyłać kandydatury świętych do następnych edycji. Przypomnijmy, że idea programu nie jest całkowicie bezsensu. Mamy za zadanie pokazać, że nie ma rzeczy niemożliwych, są tylkoooo... eee nie ważne. Jakież tam są. W dzisiejszym odcinku gościmy niezrównanego świętego, który tylko raz w życiu stracił głowę. Przed państwem święty Wojciech.

– Witam. Dobry wieczór.

– Święty Wojciechu, powiedz, czemu zdecydowałeś się wziąć udział w naszym programie?

– Możliwość nawracania ludzi za pomocą telewizji stała się bardzo kusząca. Jest całkowicie bezpieczna.

– No cóż. Pomyślmy o tym w następnej edycji. A teraz zapraszam Ciebie święty Wojciechu do pokoju z gliną. A my przenosimy się na chwilę do naszego korespondenta, który przebywa właśnie w Watykanie. Marku, co za chaos rozpętał się w stolicy Piotrowej?

– Obecny Papież wydał dekret w sprawie garnków. Przez ostatni tydzień duchowni z całego świata obradowali na temat Twojego szoła. Uznali, że w trakcie programów dokonują się publiczne objawienia, które należy zbadać. Dekret dotyczy właśnie tych badań.

– Dziękujemy pięknie Marku, ale musimy wrócić do studia, bo święty Wojciech radzi sobie wyśmienicie i lepi garnek za pomocą stóp. Święty Wojciechu, powiedz nam, co to będzie za garnek?

– Przepraszam, ale to nie będzie garnek. Wymarzył mi się wazon na kwiaty.

– No cóż. Niestety musimy Cię zdyskwalifikować. Wazon to jednak nie jest garnek. Twoje dzieło zostanie rozbite. Jeśli chcesz, możesz spróbować swoich sił w następnym tygodniu. Nasz czas dobiega końca, więc nie pozostaje mi nic innego, jak pożegnać się z państwem. Do zobaczenia już wkrótce. Pamiętajcie. Nie konsumujcie, a wytwarzajcie!



## Zmiana w płynie

Otwarty jestem 24h. Dla przyjaciół i nie dla nieprzyjaciół. Matka jest potrzebą, ojciec wynalazkiem. Gość w dom, Bóg w dom, głowa w lodówkę.

– Ej Klaus. Co to za „Zmiana” w twojej lodówce?

– To „Zmiana” w płynie. Spróbuj. Może na ciebie dobrze wpłynie. Jakieś dziwne sensacje są po tym. Wczoraj, po wypiciu, miałem wizję. Moja dziewczyna stała się drugą suką wystrzeloną w kosmos radzieckim satelitą.

– Sprowadzili ją z powrotem na ziemię?

– Nie wiem. Obraz później się zaczął mazać. Ja też się mazałem. Zasnąłem na brzuchu, ale obudziłem się na ziemi.

– Trudno. Co zrobić – celnie podsumowałem, wyciągając „Zmianę” z lodówki. Odważyłem się podważyć kapsel telefonem. Wagi zbyt wielkiej do niego nie przywiązuję. Lekkość sobie cenię. Dźwignia działa. Napój się pieni, Klaus się pieni. Wszystko jest w jak najlepszym porządku.

Długo już foteluję się u tego farbowanego Szwaba. Mówi, że on otwiera mi drzwi, a ja mu oczy. Nie mogę tego zrozumieć. Nigdy nie dotykałem jego powiek, a drzwi codziennie ma przecież otwarte.

Wziąłem pierwszy łyk „Zmiany” i... „Wpłynąłem na suchego przestwór oceanu”. Suchego oceanu stwór wpłynął na zmianę i drugi łyk. Może rzeczywiście Mickiewiczowi pojechał się Dniestr z Loch Ness. Ten stwór i ta potworna metafora. Sucha i czerstwa. Przydałyby się jakieś zmiany. Zmiany hokejowe, by się zbytnio nie wysuszył ten przestwór. Albo zamienić się w słup soli. Tak jak teraz Klaus. Gdy ja foteluję się u niego, on zapuszcza korzenie. Rozbity w drobny mak, mieni się w przejściu.

Po kolejnym łyku wschodzi jutrzienka. Nurzam się w anilinowej skórze.

Ilustracje na okładce oraz wewnątrz numeru: Wojciech Kobus  
Korekta i redakcja: Karolina Błażejczyk, Alexander Nowakowski  
Logo czasopisma: Małgorzata Rólka



